

ODGŁOSY

Wiem ile zachowaniu uważam, że jest idealnie siennekiewiczowa praca odzwierciedla realia, palacowa i Jasnej, która grają rolę z cza-... Byliśmy zakonnym... Dążenie zachowania o prawdziwe z cza-... że re-... o wiedzieć przedstawia... bardzo... ofiar-... konsultan-... szystko, co... dostępne... ski, jako... lską wido-... miał pan... o do jego

tylko je-... uc te rolę;... udniej by-... ałem mnó-... i zwykle... sam typ... zachowanie... ebna była... I dlate-... zonych na... zają - wy-... raunek... ach frek-... wydanych... e zwróci... i upatruje

w auten-... erów i ich... ów... an zatem... usz pra-... Czy jest... ychczas-

zupelnie... zrobilem... ie lepiej... aże jest... ztostolecie... matografii... wój film... a drugiej... też fizy-... le podjęć... o dzieła... elmem po-... złości.

WSKA

mój kon-... stydzila-... potrafi?... to nie... jak lat... eść, ale... mieście... licznosc... scenie... a mnie... ogladać.

Dprac.

WICZ

STU

(tak), 3... 5, 3-B... (tak),... (tak), 10.



ZAANGAŻOWANIE I DYNAMIZM

— CECHA ŚRODOWISK NAUKOWYCH I TWÓRCZYCH

Z sekretarzem Kł PZPR — ZBIGNIEWEM FALIŃSKIM — rozmawia Jerzy Wawrzak

— Towarzyszu sekretarzu, jest kilka powodów, żeby właśnie teraz z Wami porozmawiać. 21 września odbyła się inauguracja roku kulturalnego i sezonu artystycznego 74-75. Rozpoczął się nowy rok akademicki. Trwa „Panorama 30-lecia”. Nie chodzi mi jednak o okolicznościowe refleksje, bo przecież wszelkie działania w sferze nauki i kultury mają charakter ciągły, a raczej określenie aktualnego stanu rzeczy, w kontekście doświadczeń ostatniego okresu. Zaczniemy może od nauki.

W naszym mieście skupiony jest poważny potencjał naukowy obejmujący większość podstawowych dziedzin życia gospodarczego i kulturalnego. Aktualnie studiuje około 33 tysięcy osób.

Obok funkcji kształceniowych, nasze środowisko naukowe spełnia także doniosłe role w działalności naukowo-badawczej i rozwojowej. Poza siedmioma uczelniami wyższymi działa 18 instytutów resortowych i centralnych laboratoriów oraz ośrodek PAN. Łącznie w placówkach naukowo-dydaktycznych i naukowo-badawczych zatrudnionych jest ponad 15 tys. osób, w tym ok. 600 profesorów i docentów. Warto chyba przypomnieć, że od 1945 roku uczelnie łódzkie ukończyły ponad 60 tys. absolwentów, stanowiących obecnie trzon kadr kierowniczych w Łodzi, regionie oraz w wielu ośrodkach kraju.

— Jest to swoisty fenomen na skalę europejską. Przed wojną nie mieliśmy ani jednej wyższej uczelni.

— Historycznie biorąc tak to można określić, ale potrzeby dnia dzisiejszego i przyszłości, w okresie dynamicznego rozwoju społeczno-gospodarczego kraju, zwiększają bardzo szybko zapotrzebowanie na wysoko kwalifikowanych fachowców. Ważne to dla nas szczególnie, bo Łódź i region mają stosunkowo niskie nasycenie kadrami z wyższym wykształceniem.

— Struktura gospodarki powoduje określone konsekwencje i ma swoją specyfikę...

— Rzeczywiście Łódź stanowi centrum naukowo-badawcze i kształcenia kadr dla przemysłu lekkiego i przemysłu maszyn włókienniczych. Ale jest także ważnym ośrodkiem naukowo-badawczym dla przemysłu spożywczego (szczególnie cukrownictwa), motoryzacyjnego, elektro-energetycznego (głównie transformatory dużej mocy), chemicznego (chemia polimerów i fosforu), farmaceutycznego, papierniczego i chłodnictwa. Poważne miejsce na naukowej mapie kraju zajmują placówki działające na polu nauk ekonomicznych i socjologicznych, w dziedzinie biologii, geografii, teorii filmu oraz w zakresie nauk medycznych: chorób wieńcowych serca, endokrynologii, medycyny pracy i medycyny społecznej. Na uczelniach artystycznych mamy dwa unikalne w skali kraju wydziały: Projektowania Ubiory i Tkaniny w PWSSP oraz centrum kształcenia kadr reżyserskich dla filmu i telewizji w PWSFTT.

— Warunki w jakich pracują łódzkie uczelnie nie były i nie są nadal łatwe. Odnoszę wrażenie, że istniejące możliwości wykorzystano optymalnie i w przyszłości mogą powstać techniczno-organizacyjne bariery dalszego wzrostu. Jak im przeciwdziałać?

— Rozwój uczelni, szczególnie w latach powojennych, opierał się wyłącznie o bazę adaptowaną do całkiem

odmiennych potrzeb, w dodatku rozproszoną w mieście. Obecne tempo inwestowania w naukę jest na poziomie średniej krajowej, w przyszłości będzie znacznie wyższe. W latach 1971-75 nasze uczelnie uzyskają ok. 282 tys. m sześć. — kubatury przeznaczonej dla kilku instytutów UŁ i PL oraz na zasadniczą poprawę warunków PWSSP. Nasze uzasadnione potrzeby i możliwości środowiska naukowego są gwarancją bardziej dynamicznego rozwoju bazy naukowej po roku 1975. Pomimo tych ewidentnych braków, nasz udział np. w krajowym zatrudnieniu w badaniach i pracach rozwojowych stanowi 6,3 proc., a w odniesieniu do szkół wyższych aż 8,1 proc. Nakłady na opracowanie tylko w trzech placówkach wiodących dla problemów węzłowych wynoszą ponad pół miliarda złotych. Natomiast całość nakładów dla Łodzi i regionu na prace badawcze i rozwojowe wynosi 8 proc. w skali kraju.

To wszystko znajduje odbicie w odpowiednio wysokich efektach badawczych i dydaktycznych. Np. Politechnika Łódzka w roku 72/73 osiągnęła sprawność nauczania prawie 90 proc., co wysuwa ją na czoło uczelni technicznych w kraju. To są aktywa, które pozwalają o przyszłości myśleć optymistycznie.

— W minionym okresie łódzcy uczeni osiągnęli wiele sukcesów naukowych.

— Jesteśmy wszyscy dumny z tych osiągnięć i traktujemy je jako niezwykle ważny wkład Łodzi do dorobku całej naszej nauki. Wiele z nich zostało wpisanych do Księgi Czynów i Osiągnięć Nauki Polskiej. Nie sposób wymienić tu wszystkich. Wspomnę tylko zespół doc. Ryszarda Józwickiego z Instytutu Włókiennictwa, którego nowa technologia przędzenia w wirze stacjonarnym została zaliczona do grupy 10 najwię-

Dalszy ciąg na str. 3

FILM

„POTOP” OBEJRZANY!

Dawszy w minionym tygodniu wyraz żalowi, nie tak zupełnie prywatnemu, a będącemu reakcją na obyczaje instytucji filmy w kraju naszym rozpowszechniającej, powracam dziś, sine ira et studio, do źródeł owej malej filipińki. Powrót to konieczny, jako że „Potop” Jerzego Hoffmana swój żywot artystyczny dopiero rozpoczyna i jakieś tam załe recenzenta, nawet jeśli do pewnych form tego żywota się odnoszą, pozostają wobec faktu tego sprawą marginalną. Cokolwiek zresztą recenzentów o filmowym „Potopie” nie napisze, będą to również marginalne, a propos snute rozważania.

Można bowiem napisać słów wiele o „super-gigancie narodowym” (Zygmunt Kałużyński, Polityka), o „Potopie” zwycięskim” (Krzysztof Mitrak, Kultura), o „bawieniu się w Sienkiewicza” (Rafał Marszałek, Literatura), o „wykorzystaniu największej szansy polskiej epopei” (Cezary Wiśniewski, Ekran), można z obszernym znanstwem przedmiotu spojrzeć po 90 latach na „Potop” Henryka Sienkiewicza (Julian Krzyżanowski, Ekran), można publicznie zdać sprawę z dylematów stojących przed historykami, gdy przyszło im uczestniczyć w adaptacji „Trylogii” (Adam Kersten, Film), lecz trudno w jakiejkolwiek tego typu analizie krytycz-

nej czy wypowiedzi ogarnąć całość dzieła.

Książki powstałe wokół Sienkiewiczowskiej „Trylogii” złożyły się mogą na pokaźną bibliotekę. Rozprawy naukowe i krytyczne analizy, polemiki współczesnych autorów i ciągle jeszcze powracające, tak w polonistyce jak i w historii, spory o Sienkiewicza wyznaczają jeden nurt żywotności jego dzieł. Drugi, szerszy, bardziej żywiołowy i chyba istotniejszy określony jest powrotami do ich lektur kolejnych pokoleń czytelników.

Historycznym powieściom Henryka Sienkiewicza nikt w dziejach naszej literatury nie odebrał i zapewne nie

odbił pierwszeństwa czytelniczego sukcesu. „Trylogia” — narodowy bestseller — trwa na tej pozycji niezagrożona. Analizie tego fenomenu pióra swe poświęcili najwybitniejsi badacze naszej literatury, historycy i kulturoznawcy. Większość tropów w poszukiwaniach tych docierała w końcu do punktu jednego — źródłem sukcesu Sienkiewicza jest nie tylko znakomitość literacka jego piarstwa, nie trzeba go też szukać w celności historiozoficznej myśli, lecz... w wyrażeniu ciągłej niezmiennej narodowej świadomości, która właśnie w „Trylogii” znajduje swe potwierdzenie. Na świadomość tą składa się zbiorowe doświadczenie, poczucie narodowego charakteru, pielęgnacja wartości, które w „Trylogii” wysunięte zostały na plan pierwszy — pochwała patriotyzmu, wierność sprawie i wierność sobie, odwagi i fantazji. Mistrz Henryk Sienkiewicz, narrator znakomity, nosicielami tych wartości uczynił postacie, które nawet poza dziełem samym zaczęły w owej zbiorowej świadomości istnieć na wzór bohaterów mitologicznych. Jeśli mówimy więc o polskiej mitologii narodowej, ona to zajmuje w niej miejsce pierwsze. Świadomość ta określiła generalną koncepcję filmowej adaptacji „Potopu”.

Dalszy ciąg na str. 4

Wrześnie plenum Komitetu Łódzkiego PZPR poświęcone było kierunkom ideowego i organizacyjnego doskonalenia działalności łódzkiej organizacji partyjnej, a więc sprawom wewnątrzpartyjnym. Problem wyjątkowej wagi, bo przecież partia jako kierownicza siła narodu wzięła na siebie ciężar odpowiedzialności za losy kraju, jego teraźniejszość i kształt przyszłości. Oczywiście więc, że od autorytetu i siły, sprawności i metod działania partii zależą wprost efekty twórczej pracy całego społeczeństwa. W tym więc sensie problem o którym mowa interesuje nie tylko samych członków partii, ale wszystkich obywateli. Doskonalenie działania wszystkich ogniw i instancji partyjnych, to przyspieszenie realizacji celów, które VI Zjazd PZPR postawił przed całym społeczeństwem. Partia analizuje siebie, efekty swego działania, szuka nowych dróg, wszystko po to, by w sposób najlepszy służyć narodowi, całemu społeczeństwu, wszystkim ludziom pracy.

Partia ocenia się sama i na co dzień, w działaniu ocenia swoją partię całe społeczeństwo. Tę ocenę obywatelską jest pełne zaufanie i poparcie czynnym w realizacji zadań, które partia wytycza. Ocena partii, stosunek do partii, najpełniej wyraża się w efektach, w postępie społeczno-gospodarczym, jaki osiągnął nasz kraj w ciągu ostatnich trzech i pół roku. Wejście na orbitę tak przyspieszonego rozwoju i utrzymania, a nawet stałe przyspieszanie tempa — to wielki sukces, który szokuje cały świat.

Wzrost produkcji i usług osiągnięty został prawie w całości (92,9 proc.) poprzez wzrost wydajności pracy. To z kolei pozwoliło zwiększyć płace o ok. 13 proc.

Łódzka organizacja partyjna liczy obecnie ponad 87 tys. członków i kandydatów, skupionych w blisko 1600 organizacjach podstawowych i w ponad 4300 grupach partyjnych. Jest to więc potężna siła polityczna, która umacnia swą kie-

zacja sil, której jakże pięknym przykładem są czyny partyjne. Umocniła się wewnętrzna więź członków partii, a słowo „towarzysz” pozwala nam czuć się w partii jak w związku naszym bratnim, dla którego dobro społeczne jest pracem najwyższym.

I kiedy pada pytanie: Co dzięki uchwałom, decyzjom i konkretnym czynom partii zmieniło się na lepsze — można odpowiedzieć całym katalogiem spraw zrealizowanych. Przypomnijmy tylko banki „20” i „30” miliardów, czyny społeczne i produkcyjne dla uczczenia 30-lecia PRL. W tym okresie organizacjom partyjnym udało się z powodzeniem wcielić w życie zasadę przodowania członków partii w pracy zawodowej, w czynach produkcyjnych i społecznych, dając tym przykład bezpartyjnym. Odnosi się to zwłaszcza do dużych zakładów pracy, gdzie POP i komitety zakładowe są autentycznymi kierownikami politycznymi załóg. Właśnie duże przedsiębiorstwa (w których pracuje 38 500 członków i kandydatów partii) odgrywają wiodącą rolę w wypracowywaniu i upowszechnianiu nowych form i stylu pracy ideowo-wychowawczej i organizatorskiej.

Partia wkroczyła obecnie w okres szczególnie intensywnej pracy politycznej, związanej z przygotowaniem do wymiany legitymacji i do kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Kampanie te mają szerszy wymiar niż wynika to z zasad statutowych. Będzie to znowu powód do spojrzenia na siebie, do samooceny i refleksji na temat dalszego doskonalenia pracy wszystkich ogniw partii i każdego jej członka. (JW)

PARTIA O SOBIE

produkcji i usług osiągnięty został prawie w całości (92,9 proc.) poprzez wzrost wydajności pracy. To z kolei pozwoliło zwiększyć płace o ok. 13 proc.

Zastępą to ludzi pracy, klasy robotniczej, partii, która doskonała metody i formy swej działalności, zapewniające sprężyste kierowanie procesami przyspieszonego rozwoju. Im bowiem trudniejsze zadania, tym większa rola człowieka w gospodarce. Doświadczenia fakty potwierdzają, że tam gdzie dobrze pracuje aktywna partia, gdzie organizacja partyjna prawidłowo wykonuje swe funkcje — tam również są największe osiągnięcia ekonomiczne i społeczne.

rowniczą rolę poprzez pogłębianie codziennej więzi z ludźmi pracy, a przede wszystkim klasą robotniczą. Robotnicy stanowią też główny trzon partii i ich udział w ogóle w życiu społeczno-politycznym wzrasta. Robotnicy stanowią 43 proc. Komitetu Łódzkiego, 50 proc. władz organizacji partyjnych różnych szczebli, 43 proc. składu rad narodowych. Na uwagę zasługuje i to, że systematycznie wzrasta liczba robotników z wykształceniem ponadpodstawowym — z 18 proc. w roku 1960 do 31 proc. obecnie.

„W partii — powiedział na plenum tow. Bolesław Koperski — nastąpiła pełna mobili-

WIZYTA

W ubiegłym tygodniu przebywał w Łodzi na zaproszenie prezydenta miasta — Jerzego Lorensa dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie — prof. dr Stanisław Lorentz. Gość Łodzi zapoznał się z problemami modernizacji i rozbudowy miasta, zwiedził zakłady Tekstylny-Konfekcyjne „Teofilów” oraz budujący się Park Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu. W Parku tym powstanie nowa siedziba Muzeum Sztuki.

Prof. dr Stanisława Lorentza przyjął sekretarz KL PZPR — Bolesław Koperski. W czasie wizyty gość otrzymał pamiątkowy medal 500-lecia Łodzi.

Na spotkaniu z dziennikarzami prof. dr S. Lorentz wyraził swoją opinię o zmianach zachodzących w mieście, podkreślając, że coraz większego znaczenia nabierają w Łodzi sprawy kultury. Rośnie również w kraju rola i znaczenie łódzkich muzeów. Muzeum Narodowe na przykład stale utrzymuje bliskie kontakty z Muzeum Sztuki i Muzeum Historii Włókniennictwa w Łodzi.

Obecnie w ramach trwającej w Warszawie „Panoramy Trzydziestolecia” Muzeum Narodowe udostępniło swoje sale wystawowe dla ekspozycji dorobku łódzkiej plastyki, którą będzie się prezentować ze zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi.

NA ANTENIE TV

Przez pierwszych 20 dni października Łódź i województwo łódzkie prezentują swój dorobek kulturalny w Warszawie w ramach „Panoramy Trzydziestolecia”. W tym czasie na ogólnopolskiej antenie TV bogaciej niż zwykle będzie prezentowany Łódzki Ośrodek Telewizyjny.

W tym czasie w Magazynie DTV więcej będzie korespondencji z Łodzi i województwa. W pierwszych dniach października emitowany będzie z Łodzi reportaż pt. „Druga młodość miasta”.

Z ciekawszych propozycji programowych LOT warto zwrócić uwagę na następujące:

- 6 października — program rozrywkowy „DOBRY WIECZÓR, TU ŁÓDŹ”.
- 12 października — kolorowy film rozrywkowy „Flotylla”.
- 13 października — przed kamerami TV wystąpi Henryk Debich i jego orkiestra.
- 15 października — w programie II reportaż „Na osiedlu”.
- 18 października — łódzkie wydanie telewizyjnego magazynu „PANORAMA”, a w Teatrze Telewizji Łódzkiej — „Od wieczora do południa”.

Zyczymy dobrego odbioru!

OPORÓW

15 km od Kutna, niedaleko drogi Warszawa — Poznań, leży niewielka osada Oporów. Od XV do połowy XVIII wieku Oporów posiadał prawa miejskie, było to małe prywatne miasteczko. Jedynymi śladami tamtych czasów są dziś klasztor OO Paulinów i zamek.

Zamek w Oporowie wystawiony w latach 1434—49 przez Władysława Oporowskiego, biskupa kujawskiego i podkanclerza koronnego, jest jednym z najcenniejszych zabytków architektury na terenie województwa łódzkiego. Położony jest na wysepce otoczonej fosą. Fundamenty budowli posadowionej na miejscu bagnistym wspierają się na dębowych palach wbitych w ziemię. Zbudowany został na planie czworoboku z dziedzińcem wewnętrznym. Skrzydło mieszkalne, piętrowe, podpiwniczone mieściło na parterze 3 komnaty. Na piętrze znajdowała się reprezentacyjna sala rycerska i sypialnia.

Wieża zachodnia broniła dostępu do bramy i służyła straży zamkowej dla mieszkaniec. Baszta wschodnia mieściła kaplicę. Mury obronne zamykające dziedzińiec od północy i wschodu zwieńczone są blankami i zaopatrzone w otwory strzelnicze.

Na początku XVII w. Oporów przeszedł w posiadanie rodziny Tarnowskich. Około r. 1720 dobra oporowskie przejął Jan Solłohub, podkomorzny gostyński, późniejszy podskarbi wielki litewski i wojewoda brzeski. W posiadaniu Solłohubów pozostawał zamek do końca XVIII wieku. W tymże stuleciu nastąpiła jego pierwsza przebudowa. Dalszych przeróbek w stylu neogotyckim dokonali w latach 1837—1844 kolejni właściciele zamku — Orsetti.

W latach 1962—65 dokonano gruntownej konserwacji, która przywróciła tej budowli pierwotną formę. Ze względu na wysoką wartość architektoniczną obiektu utworzono w nim Muzeum Stylowych Wnętrz. I jeżeli sama architektura zamku stawia go w rzędzie najciekawszych obiektów w skali ogólnoeuropejskiej, to ekspozycja muzealna sprawia, że jest to również jedno z najciekawszych muzeów regionalnych w Polsce.

W komnatach zamku pokazano wyposażenie wnętrz od gotyku do klasycyzmu (XV—XIX w.).

Obok sali rycerskiej, w dawnej sypialni znajdują się portrety rodziny Solłohubów. Jednym z dowodów budowy zamku przez biskupa Oporowskiego jest późnogotycki, kamienny portal z płaskorzeźbą herbu Sulima z insygniami biskupimi, prowadzący do kaplicy.

Ekspozycja wnętrz zamku oporowskiego posiada swoistą atmosferę. Zwiedzający nie odnosi wrażenia, że są w muzeum, ot, po prostu weszli do zamku i oglądają jego komnaty. Jeżeli do powyższego dodamy ciekawe otoczenie, w jakim znajduje się zamek — park angielski — urok oporowskiej placówki muzealnej znajdzie swe wytłumaczenie.

Korzystając z pięknej scenerii, kierownictwo muzeum organizuje ciekawe imprezy oświatowe. Znaną są już oporowskie spotkania muzyczne. Recitale, koncerty muzyki kameralnej, wieczory poezji i muzyki zyskały sobie już wielbicieli i weszły na stałe do programu prac muzeum.

W niedługim czasie, po zakończeniu remontu dawnego tzw. „domku szwajcarskiego” w pobliżu zamku, muzeum zyska nowe powierzchnie magazynowe, otwarta będzie tu kawiarnia, której brak odczuwały liczne grupy zwiedzających.

Muzeum w Oporowie jest licznie odwiedzane przez turystów z całej Polski i spoza jej granic. Sprawia to nieporównywalny urok zabytkowej budowli i atmosfera naturalności jego wnętrza.

JERZY AUGUSTYNIAK

Niedawno odwiedziłem Berlin. Jak zwykle wieczorem słuchałem radia. Kręcąc gałkami w pewnym momencie usłyszałem melodię najpopularniejszego przeboju w RFN „Theo wir fahren nach Lodzi” — „Teo, jedziemy do Łodzi”. Uprzednio słyszałem już tę melodię, zresztą bardzo szybko wpadającą w ucho i w dobrym wykonaniu znanej greckiej piosenkarki Vicky Leandros, od lat mieszkającej w RFN. Którego z łódzian nie zainteresowałaby piosenka o jego mieście, do tego skomponowana za granicą? Głośniej nastawiałem radio. Ale to co usłyszałem jest tzw. chwytym połównej pasa. Była to audycja opracowana przez Lorda Knuta, znanego komentatora radia RIAS z Berlina zachodniego — poświęcona Łodzi. Po melodii „Theo wir fahren nach Lodzi” Lord Knut mówił o wielkiej karierze jaką zrobiła ta piosenka, oświadczył że postanowił swoim miłym i wernym słuchaczom bliżej zaprezentować obiekt tej piosenki,

zn. Łódź. Z siedmiu komentarzy pana Lorda z RIAS wynikało, że Łódź jest najbrzydszym miastem świata, oraz sporo innych bzdur na temat naszego grodu. Jednocześnie na-

RIAS naszego 25-letniego dorobku w NRD spotykamy się codziennie. Na szczęście taka propaganda nie odnosi skutku, ludzie widzą co się wokół nich dzieje.

Łódź miał jechać nie Theo, ale Rosa. Skomponowali ją i tekst ułożyli dwaj austriacy Zydy Artur Werau i dr Fritz Lechner. Ten ostatni został w 1942 roku zamordowany przez hitlerowców w obozie koncentracyjnym. Warto przy tym wyjaśnić, że Rosa która miała jechać do Łodzi to nie dziewczyna lecz takim imieniem ochrzczono ciężką haubicę, która wówczas miała ostrzelać Łódź.

Tygodnik Der Spiegel, który jak wiemy ma najlepiej wyposażony dział dokumentacji — 150 tys. zdjęć komputery, 120 osób zatrudnionych w archiwum — zilustrował ten artykuł zdjęciem Łodzi. Niestety starym łódzianom zdjęcie to jest bardzo dobrze znane. Pochodzi z 1941 roku i jako pocztówka — widokówka sprzedawane było wówczas w kioskach za 10 fenigów. Na odwrocie był napis: „Gruss aus Litzmannstadt” — „Pozdrowienia z Litzmannstadt”.

ADAM BIENKOWSKI

„LORD BEZ... LORDOWSKICH MANIER”

grane w Łodzi rozmowy z przebojami zostały — co sam Lord przyznał w audycji — skrócone w montażu (czytaj — wypaczone).

Gdy tego samego dnia odwiedziłem przyjaciół w redakcji berlińskiej popołudniówki „BZ am Abend” i opowiedziałem im o tej audycji usmiechnęli się tylko. Ten numer z Łodzią to „male piwo” — oświadczyli — z opłuwaniem przez

Piosenka „Theo wir fahren nach Lodzi” poświęcił również duży artykuł najpopularniejszy tygodnik polityczny w RFN „Der Spiegel”. Wynika z niego, że płyta z tym nagraniem osiągnęła już rekordowy nakład — sprzedano 820 tys. sztuk. „Der Spiegel” nie ukrywa jednak, że piosenka ta to niestety plagiata. Powstała bowiem już w czasie I wojny światowej w 1915 roku z tym, że do

NOTY i OPINIE

W PŁOCKU powstaje teatr. Będzie to teatr ściśle powiązany z ośrodkiem kultury i będzie stanowił jego integralną część. Teatrem plockim kieruje Jan Skotnicki — prorektor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Działalność teatru ma stanowić jeden z elementów kulturalnej pracy ośrodka, a aktorzy poza pracą w teatrze będą też uczestniczyli w pracach ośrodka.

Tego typu struktura niezależna teatr od kłopotów finansowych, zwalnia od konieczności szukania takich pozycji repertuarowych, które pozwoliłyby zrealizować plan finansowy teatru, a jednocześnie pozwala na spełnienie ambicji kształtowania gustów odbiorcy. Teatr plocki nie ma zamiaru grać tylko we własnym lokalu, ale pragnie występować przed publicznością w zakładach pracy, szkołach, małych miasteczkach i wiejskich ośrodkach kultury.

JESTEM W PEŁNI PEWNI SUKCESU” — oświadczył w

czasie pobytu w Miasteczku Gwiazdnym pod Moskwą amerykański kosmonauta, szef ekipy „Apollo” do wspólnego lotu z „Sojuzem” — Thomas Stafford.

— Wszystko posuwa się naprzód skutecznie i zgodnie z planem — oświadczył na to Aleksiej Leonow, szef kosmonautów radzieckich.

Obie grupy kosmonautów szkółą się bądź to w ZSRR bądź w USA. Jednym z punktów szkolenia jest znajomość języka partnera. Rosjanie uczą się angielskiego, a Amerykanie — rosyjskiego. Nauka posuwa się też stale do przodu, skoro obie ekipy mogą już porozumiewać się wzajemnie w obu językach i to nie tylko na tematy techniczne, ale i inne.

W 5 lat po wspólnym locie „Apollo — Sojuz” ma być wystrelona stała stacja kosmiczna, a komunikację z nią będzie utrzymywał stały kosmiczny statek-prom.

NIEPRZERWANY ROZWÓJ BUDOWNICTWA spowodował poprawę sytuacji mieszkaniowej w Łodzi. Według porównawczych danych statystycznych wygląda ona następująco. W ubiegłym roku w Łodzi na jedno mieszkanie przypadało 2,90 statystycznych osób, natomiast w Warszawie — 2,95, w Krakowie — 3,33, w Poznaniu — 3,70, we Wrocławiu — 3,69.

Na jedną izbę w Łodzi przypadało 1,18 statystycznego mieszkańca, w Warszawie — 1,13, w Krakowie — 1,26, w Poznaniu — 1,19, we Wrocławiu — 1,24.

W tym samym czasie wielkość mieszkania w Łodzi wynosiła 40,6 m kwadratowego, w Warszawie — 42,5, w Krakowie — 46,1, w Poznaniu — 53,2, we Wrocławiu — 51,5 m kwadra-

towego. Natomiast wielkość jednej izby kształtowała się w Łodzi — 16,6 m kwadratowego, w Warszawie — 16,2, w Krakowie — 17,5, w Poznaniu — 17,1, we Wrocławiu — 17,3.

Te niekorzystne porównania co do wielkości mieszkania i izby są niewątpliwie konsekwencją zarówno spuścizny popapralistycznej, kiedy mieliśmy największą w kraju mieszkalną jednorodzinność, jak też okresu, w którym budowaliśmy mieszkalnictwo według najniższych dopuszczalnych granic normy przewidzianej do planowania. Obecnie trwa praca nad likwidacją i tych dysproporcji. Budowane obecnie mieszkania dysponują znacznie większą powierzchnią i są projektowane według górnych granic normy.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „ODGŁOSÓW” (nr 39) na stronie drugiej, w rubryce: „PROSZE O GŁOS”, ukazał się artykuł pt. „REFLEKSJE NA TEMAT WYPADKU”. Autorem artykułu jest JERZY WILMAŃSKI. Czytelników i autora serdecznie przepraszamy, gdyż „Refleksje na temat wypadku” ukazały się bez podpisu.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

ZAANGAŻOWANIE i DYNAMIZM - CECHĄ ŚRODOWISK NAUKOWYCH I TWÓRCZYCH

Dalszy ciąg ze str. 1

kszych osiągnięć uzyskanych w Roku Nauki Polskiej. Dalsze sukcesy odniosły m. in. zespoły pod kierownictwem prof. Jana Michalskiego z łódzkiego oddziału PAN, prof. Jerzego Kroha i doc. Zdzisława Hasia z PL, prof. Jana Molla z AM. Zasłużony rozgłos zdobyły ostatnie prace prof. Antoniny Kłoskowskiej i prof. Władysława Welfe z UL.

A jaki Waszym zdaniem jest efekt praktyczny tych osiągnięć, zwłaszcza dla łódzkiej gospodarki, przemysłu, oświaty i kultury? — Zilustruję to konkretnymi przykładami. Instytuty i zakłady naukowe PL podwoiły w latach 1971-73 wartość wykonywanych prac zleconych przez jednostki gospodarcze. Uniwersytet Łódzki, wychodząc naprzeciw potrzebom, podjął w szerokim zakresie kształcenie nauczycieli. Akademia Medyczna prowadzi z dużym rozmachem podplomowe kształcenie lekarzy. Rozszerzyły się także inne formy oddziaływania środowiska: doradztwo naukowe, udział w radach naukowych zaplecza przemysłu, w kolegiach zjednoczeń i innych instytucji. Aktualnie w tego typu pracach bierze udział ponad 100 profesorów i docentów. Coraz częściej współpraca z nauką opiera się o wieloletnie umowy. Warto w tym momencie przypomnieć, że nasz przemysł posiada także własne zaplecze naukowo-badawcze i efekty jego pracy są coraz lepsze. Np. w ostatnim okresie uzyskano 328 patentów z czego wdrożono do produkcji 95. Korzyści z tego tytułu szacuje się na ponad pół miliarda złotych.

Na plenum Komitetu Łódzkiego partii w marcu br. na temat nauki, wiele uwagi poświęcono naukom społecznym.

I nie mogło być inaczej. Funkcja tych nauk — ekonomii, filozofii, historii, pedagogiki i psychologii, nauk politycznych, nauk filologicznych i innych — stale rośnie w procesie rozwoju społeczeństwa socjalistycznego. Spełniają one ważne funkcje wychowawcze, współdziałające w kształtowaniu nowego socjalistycznego człowieka. Dążymy do tego, aby spełniały one w regionie łódzkim określone funkcje badawcze, związane z analizą kształtowania się nowych struktur społecznych i gospodarczych, kształtowania się łódzkiej klasy robotniczej, funkcji społecznych nowej inteligencji; kształtowania się postaw społecznych, politycznych i moralnych w skali miasta i poszczególnych przedsiębiorstw.

Dotyczy to samej partii także... — W metodach i formach pracy naszej partii rośnie rola naukowych ekspertów, prognoz i opracowań dokonywanych na potrzeby instancji partyjnych różnych szczebli. Nauki społeczne pomagają nam w rozwiązywaniu trudnych i skomplikowanych zagadnień naszego życia. Wielką wagę mają badania nad rewolucyjnymi i patriotycznymi tradycjami miasta i regionu. Ułatwiają one, zwłaszcza młodemu pokoleniu, kształtowanie właściwych postaw obywatelskich.

To również rola kultury, ruchu artystycznego, popularyzacji i upowszechnienia dóbr kultury i sztuki. Ostatnio w naszym mieście obsewujemy wiele wysiłków ze strony władz i samych środowisk, by nadać tym zjawiskom rangę, na jaką, w sensie również społecznym i politycznym, zasługują.

Na tym obszarze wspólnym, jak powiedzieliście, wysiłkiem zrobiliśmy wiele. W przyszłości zrobimy znacznie więcej, przede wszystkim rozwijając infrastrukturę kulturalną. Ale obecny etap uważam za nie mniej ważny. Upraszczając sprawę powiem krótko, że taka będzie kultura przyszłości, jakie jej obecnie nadamy kierunki rozwoju, jaki kształt zarysujemy i jakie koncepcje będziemy preferować. W tym celu w ostatnich dwóch latach prowadziliśmy szeroko zakrojoną dyskusję z twórcami i działaczami kultury nad wizją kultury przyszłości. Dokonałiśmy także analizy stanu aktualnego i mamy konkretny program na lata najbliższe. W czerwcu, na plenarnym posiedzeniu Komitetu Łódzkiego partii przyjęliśmy kompleksowy „Program rozwoju kultury w Łodzi do roku 1990”.

Podobnego dokumentu w przeszłości nie było. Pomijając w tym momencie jego kapitalną wagę, sam ten fakt ma dodatkowe znaczenie.

Tak. Po VI Zjeździe partii leni-

nowską zasadę nierozzerwalnego i równoważnego związku polityki, ekonomii i ideologii konsekwentnie wcielamy w życie. Dlatego też rozwój kultury i aktywność kulturalną społeczeństwa traktujemy, obok rozwoju nauki i oświaty, jako nieodzowny element, służący postępowi gospodarczo-cywilizacyjnemu. Jak inaczej będziemy mogli kształtować patriotyczne i ideowo-moralne motywacje działań ludzkich?

Środowiska twórcze Łodzi powstały praktycznie w ostatnim trzydziestolecu.

Nie jest to zupełnie ściśle. Łódź była przed wojną „pustynią naukową” ale obecne środowiska teatralne, plastyczne, literackie sięgają tradycjami do okresu międzywojennego.

na obecnym etapie skierowany być musi na budownictwo mieszkaniowe, rozbudowę i rekonstrukcję przemysłu. W tej sytuacji problemem najważniejszym jest wykorzystanie istniejących możliwości do maksimum. Tak, jak to robią np. plastycy, którzy rzeczywiście się wyróżniają. Oni też działają w trudnych warunkach.

Nasze działania w kulturze nakierowane jest głównie na przyszłość. Dobry klimat w środowiskach twórczych, zaangażowanie związków twórczych w sprawy upowszechnienia kultury i sztuki, wszystko to, co pomnaża dorobek twórców i akcentuje ich obecność w społeczeństwie — przybliża nas realnie do tej przyszłości, której w miarę konkretną wizję zarysowaliśmy.

bisty udział. Nie wyobrażamy sobie realizacji tego programu bez zaangażowania wszystkich zainteresowanych. Dla każdego znajdzie się miejsce; dla całych środowisk i każdego pojedynczego artysty. Już teraz wiele organizacji partyjnych przy związkach twórczych pracuje nad sposobami włączenia w sposób konkretny do realizacji programu. I ta współpraca musi trwać na co dzień zawsze. Najlepszy przecież program nie może być określony na stałe, niezmienny. Życie będzie go weryfikować, uzupełniać, wzbogacać o nowe zdobycze nauki, techniki, ale także o refleksję intelektualną.

Przez dwadzieścia dni października będziemy gośćmi Warszawy, w wielkiej, trwającej już kilka miesię-

skiego. Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych pokazuje wystawę „Od pomysłu do realizacji”, odbędzie się też powtórzenie wystawy poplenerowej, organizowanej z okazji przygotowań do Olimpiady. Prace swoje pokażą fotograficy, a łódzki wydawca — dorobek edytorski. Muzeum Historii Ruchu Robotniczego zorganizuje wystawę problemową — „Z dziejów ruchu robotniczego Ziemi Łódzkiej”.

Będzie to również okazja do zaprezentowania dorobku sztuki ludowej regionu.

Oczywiście. Tym bardziej, że na nasz koncert galowy złożyły się występy zespołów amatorskich. Jest to niewątpliwie cechą charakterystyczną regionu, choć może mało jeszcze znana, bo mało eksponowana, że dysponujemy bogatym dorobkiem artystycznym amatorów. I to zarówno w Łodzi, gdzie działa wiele zespołów robotniczych i w województwie, gdzie działają zespoły ludowe. W czasie trwania „Panoramy” pokażemy wielkie widowisko plenerowe „Wesołe łowickie”, wystąpią kapele ludowe z województwa łódzkiego, a także Opera Amatorska ZPB im. Armii Ludowej z widowiskiem „Leśniczy z Puszczy Kozienickiej”.

Amatorzy sztuki ludowej będą mogli przyrzyć się pracy artystów ludowych oraz nabyć ich wyroby artystyczne na kiermaszach.

Nie mówiliśmy jeszcze o muzyce.

Przed wszystkim koncertować będzie w Warszawie Filharmonia Łódzka, zespoły muzyki kameralnej, a w tym „Pro Musica”. Wystąpią też studenci i uczniowie szkół muzycznych.

„Estrada Łódzka” wystąpi z programem folkloru miejskiego „Krajobraz z dymu utykany”. Stowarzyszenie Muzyki Estradowej przygotowało kilka imprez. Poza koncertami zespołów rozrywkowych wystąpi „Camer-Ton”, a w Domu Kultury Radzieckiej odbędzie się program w języku rosyjskim — „Serce przyjaciół”.

Łódź jest też ośrodkiem sztuki filmowej.

Produkcja łódzkiej filmowców znajdzie też swoje miejsce wśród imprez „Panorama Trzydziestolecia”. W kinach warszawskich odbędą się przeglądy filmów WFO i „Semafora”. Pokażemy w Warszawie filmy o Łodzi, Ziemi Łódzkiej, o sztuce. Będą to pokazy specjalnie organizowane, a jednocześnie filmy WFO i „Semafora” będą wyświetlane w warszawskich kinach jako dodatki do filmów fabularnych.

A udział środowiska naukowego?

W pierwszych dniach października odczyty wygłoszą łódzcy naukowcy: profesorowie Janusz Górski, Antonina Kłoskowska, Bohdan Baranowski, Jerzy Wróblewski, Jan Mużel, Bernard Zabłocki i inni. Pokażemy wystawę ilustrującą dorobek 30 lat Uniwersytetu Łódzkiego.

Odbędzie się też spotkanie autorskie łódzkiej pisarzy, swoje osiągnięcia reprezentują łódzcy bibliofile. Pokażemy też dorobek środowiska studentckiego. Specjalnie na potrzeby „Panoramy Trzydziestolecia” miesięcznik „Kalejdoskop” wydał album, będący ilustracją tego co interesujące i godne podkreślenia w kulturze Łodzi i regionu.

Dziękuję za rozmowę, towarzyszu sekretarzu.

Rozmawiał:
JERZY WAWRZAK



Działala wtedy grupa „a.r.”, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Scena Robotnicza Wandurskiego. O tym nie wolno zapominać.

Przez jakis czas po wojnie Łódź była stolicą kulturalną Polski.

W wyniku normalizacji w kraju nastąpiło to, co musiało nastąpić. Niewątpliwie odplyw wielu znakomitych twórców wywoływał stany niepokoju o kulturalną rangę miasta. Ale środowiska twórcze szybko się odbudowały, rozwinęły, zdobyły autorytet społeczny i wysoką rangę artystyczną. Zwłaszcza w ostatnich latach rola środowisk twórczych w Łodzi niepomniernie wzrosła. Potwierdziły ją osiągnięcia naszych twórców w skali kraju i w skali międzynarodowej.

I odwrotnie, wielu twórców polskich zdobywa laury w Łodzi.

Mają do tego liczne okazje. Wiele naszych inicjatyw zdobyło na trwałe status imprez ogólnokrajowych czy nawet międzynarodowych. Wymienię tu Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, Malarstwa „Czas — metafora — tendencje”, Triennale Plastyki w Architekturze. W ramach tegorocznej, szóstej z kolei Łódzkiej Wiosny Artystycznej ZPAP zorganizował pierwszą ogólnopolską wystawę sztuki zaangażowanej społecznie i politycznie. W przyszłym roku plastycy planują urządzić wystawę satyry politycznej. Z innych imprez o szerszym zasięgu można wymienić spotkania baletowe, festiwale filmów społeczno-politycznych i naukowych, ogólnopolski festiwal poezji, który w przyszłym roku odbędzie się po raz dziesiąty.

Dzieje się w kulturze wiele, chociaż słyzy się tu i ówdzie narzekania na nie najlepsze warunki. Z drugiej strony, jak się wydaje, mamy dobrą jak nigdy atmosferę w środowiskach twórczych, zapal, wiele inicjatyw, w czym przodują plastycy.

Narzekania są po części słuszne. Mamy duże zaniedbania, rozwój bazy kulturalnej w przeszłości nie zaspokajał potrzeb. Teraz nie możemy dokonać skoku tak zasadniczego, bo limitują nas nie środki finansowe, ale możliwości techniczne. Te bariery pokonamy za kilka lat, jak powstanie odpowiedni potencjał budowlany, który rozwija się bardzo szybko, ale

Wracamy więc do „Programu rozwoju kultury do roku 1990”. Jak by towarzyszył sekretarz najogólniej go scharakteryzował.

Jest to program przede wszystkim kompleksowy. Jego skala jest bezprecedensowa, na realizację przewidujemy ok. trzech miliardów złotych. Nie sposób tu mówić o szczegółach, raczej o pewnych ideach. Stawaliśmy się ten problem rozwiązać wszechstronnie, rozumiejąc pod pojęciem „kultura” wszystko to, co służy pełnemu rozwojowi człowieka; począwszy od współzestępnictwa w tworzeniu dóbr kulturalnych do rekreacji i rekreacji. Opracowany model wynika z przyjętej zasady policentrycznego rozwoju kultury. Będziemy więc tworzyć centra kultury na różnych poziomach urbanizacji, np. centrum miejskie, służące miastu i całej aglomeracji łódzkiej, oraz dzielnicowe i osiedlowe. Chcemy, mówiąc najzwyczajniej, przyjąć z kulturą do człowieka, do jego osiedla, niemal bloku, uczynić z kultury coś, co jest potrzebne na co dzień, nieodzowne.

Środowiska twórcze, działacze i pracownicy kultury przyjęli ten program z dużym uznaniem. Widzą w tym troskę władz, praktykę przybliżającą życiu nowe koncepcje i idee. Widzą także swój wkład, własne przemyślenia i postulaty.

To jest bardzo ważne, ten oso-

cy imprezie, nazwanej „Panoramą 30-lecia”. Co tam pokażemy? Najbardziej interesują mnie propozycje środowisk kulturalnych.

Program jest bardzo bogaty i różnorodny. Teatr Wielki pokaże „Henryka VI na łowach” w reżyserii Kazimierza Dejmka oraz „Wieczór baletów polskich”, Teatr Powszechny „Małkę Courage” z Jadwigą Andrzejewską w roli tytułowej. Teatr Nowy „Kubusia Fataliste”, Teatr Ziemi Łódzkiej — wystawi „Popiół i diament” oraz „Linie”. Będzie również występować w Warszawie Teatr Lalek „Pinokio”.

Jak z tego widać, przekrój widowni teatralnych jest szeroki i różnorodny. Kierowaliśmy się myślą, aby pokażać właśnie tę różnorodność, pokażać prężność środowisk twórczych, poszukiwania repertuarowe, które wynikają z potrzeb kulturalnych regionu i ambicji zespołów.

Z czym wystąpią inne środowiska?

W Muzeum Narodowym pokażemy wystawę malarstwa, skompletowaną ze zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi, — obrazy awangardy z okresu międzywojennego oraz ich współczesnych kontynuatorów. Pokażemy także dzieła łódzkiej szkoły realistów. Muzeum Historii Włókiennictwa organizuje w salach Zamku Warszawskiego wystawę współczesnego gobelinu pol-



Fot. Wł. Purys



„POTOP” OBEJRZANY!

Dalszy ciąg ze str. 1

Scenarzyści „Potopu” — Jerzy Hofman, Adam Kersten i Wojciech Żukrowski — reprezentując trzy niezbędne w procesie adaptacyjnym tej powieści specjalności i umiejętności — filmowca, historyka i literata, podjęli decyzję, za którymi stała wielka odwaga, reszta była już sprawdzianem możliwości artystycznych, organizacyjnych i technicznych ludzi polskiego filmu, sprawdzianem, jak się okazało, wystawiającym im wysoką notę.

To na etapie scenariusza stawić trzeba było czoła oporowi samego oryginału, którego bogactwo, właśnie bogactwo „kinowe”, wyrażone wielką widowiskowością, mnogością wątków i perypetii awanturniczo-romansowych, wyrazistością postaci zmuszało do wierności, za którą stać jednak musiała świadomość konieczności selekcji i dyscypliny dramaturgicznej przygotowawczej wersji filmowej. To na etapie scenariusza podjąć trzeba było decyzję „wierności” Sienkiewiczowskiej historiozofii, bądź jej korekty. Była to jedna z rzeczy najtrudniejszych, rozwiązywała ją jednak owa świadomość funkcji Sienkiewiczowskich bohaterów we wspomnianej wyżej mitologii narodowej. Scenarzyści „Potopu”, decydując się na to, że ich film będzie opowieścią o Andrzeju Kmicicu, dokonali sądząc z rezultatów, wyboru najwłaściwszego. Historia jest w filmowym „Potopie” mądrze obecna, nie ona jednak jest jego bohaterką. Tę rolę przeznaczono polskiemu charakterowi, takiemu, jaki ukształtowała i pielęgnuje narodziła świadomość. Może jest on zmito-

I nie to, sądzę, że toczyć się będą owe spory najczęstsze, powtarzające się przy każdej adaptacji, nawet mniej niż „Trylogia” holubionych dzieł — są li Olenka, czy pan Andrzej bliższy memu wyobrażeniu tych postaci. Filmowy „Potop” ruszył na podobny wyobraźni zbiorowej, nie oglądając się na indywidualną, bo to niemożliwe. Jego zwycięstwo zaś tkwić mogło wyłącznie w jego własnej, artystycznej jakości, bo „powtórzyć” Sienkiewicza nie było ani jego celem, ani szansą. Chwaląc filmowy „Potop” można za niego samego, ganić — nie przez porównywanie z oryginalnym. Jest to brutalne, lecz naturalne prawo kina.

Chwalić więc ekranowy „Potop” będąc za jego filmową urodę, za artystyczny sukces tych wszystkich, którzy w powstaniu jego mieli swój udział. Za nieomal 6-godzinnym czasem projekcji „Potopu”, o czym pisano już wiele, stał ogromny trud setek ludzi. Nie o nim jednak się myśli oglądając film, prawem widza jest wyłącznie ocena efektu tego trudu. Określił go u początku praca scenarzystów, wybierających postaci i wątki, kształtowało go mistrzostwo reżyserii scen kameralnych, przygotowanych i wielkiej batalistki oraz znajomości reguł filmowej narracji i dramaturgii. Decydowała o efekcie tym przyjęta koncepcja przedstawienia historyczno-obyczajowego tła i jego realiów oraz samych historycznych zdarzeń, dla których przyjęto zasadę symbolicznej reprezentatywności. Przykładem może być tu wspaniała bitwa w drugiej części filmu. Nie bitwa historycznie konkretna, lecz synteza tego, czym w XVII wieku być mogła. Jest to jednocześnie, mówię to z absolutnym przekonaniem, najwspanialsze batalistyczne widowisko filmowe, jakie u-

przeżywają rozliczne rozterki i przegody Andrzeja Kmicica. Piszę o świadomości, jako że uroda ta określa przecież stopień tych przeżyć, piękno zdjęć Jerzego Wójcika oraz efekty pracy historyków, scenografów i kostiumologów, to te czynniki, które pozwalają jednak opowiedzieć Henryka Sienkiewicza przeżywać inaczej, przeżywać filmowo.

Wspomnieć się godzi, przywołując owa świadomość inności środków, choćby tylko jedną scenę — pojedynkę Kmicica z Bogusławem. Zawarto w nim cały żywioł kinowości — fizyczna sprawność aktorów tu nie wystarczała, jej efekt byłby znikomy, gdyby nie piękno filmowych obrazów mistrzowsko, co decydujące — zmontowanych. Jest to scena dla uwag tych przykładowa, uwag, które jedynie chcą zaakcentować autonomiczność dzieła, które nosi tytuł „Potop”.

Dla autonomiczności tej sprawa aktorstwa pozostaje sprawą koronną. Wraz z premierą filmowego „Potopu” zamknął się jeden rozdział kulturowych dzieł powieści Henryka Sienkiewicza. Stworzeni przez niego bohaterowie byli własnością zbiorową, ale też ciągle, na nowo — prywatną każdego z czytelników. Jerzy Hofman i jego aktorzy narzucili milionom ludzi jeden skonkretyzowany ich wizerunek. Lektury Sienkiewicza bezpowrotnie utracili swą indywidualność. Czy jest to gwałt na wyobraźni indywidualnej i zbiorowej popelniony? — na pewno, lecz nikt mu się nie oprze, nawet, jeśli świadomie wizerunków tych nie zaakceptuje. Pozostaje jedyna tylko możliwość — nie iść do kina na „Potop”. Postanowie-

Pod tytułem „AWANTURA EUROPEJSKA” ukazała się nie tak dawno temu w Brukseli książka wydana przez kolegium europejskie, instytucję związaną z EWG. Autor, LEO MOULIN, zaopatrzył ją podtytułem „WSTĘP DO SOCJOLOGII ROZWOJU GOSPODARCZEGO ZACHODU”, wyjaśniającym nieco sensacyjny tytuł. W tekście Moulin parokrotnie zaznacza, że nie ma zamiaru opisywania historii rewolucji przemysłowej krajów zachodnich wysoko rozwiniętych, lecz chce pokazać mechanizm tego rozwoju.

Autor stawia tezę, że eksplozja ekonomiczna Europy miała wiele przyczyn nie tylko ekonomicznych, że była związana z całością rozwoju kulturalnego, społecznego i politycznego krajów nią objętych. Moulin wiele miejsca poświęca tezm Max Webera i Sombarta dotyczącym wpływu reformacji na powstanie kapitalizmu. Genezę kapitalizmu dostrzegł on już w pierwszych przejawach myśli racjonalistycznej w średniowieczu. W ten sposób genezę rewolucji przemysłowej, którą historycy datują na drugą połowę XVIII wieku, cofa znacznie wstecz. Trzeba zgodzić się z autorem, że burzliwy rozwój gospodarczy krajów Europy zachodniej w drugiej połowie XVIII w., nie był dziełem przypadku, że miał wiele i to różnorodnych przyczyn, wynalazki nie były przypadkowe, miały długą prehistorię naukowych dociekań.

Druga zasadnicza teza książki jest znacznie mniej bezsporna, przeciwnie — może budzić poważne zastrzeżenia. Teza ta brzmi: rozwój gospodarczy Zachodu jest zjawiskiem niepowtarzalnym, jedynym, wywołanym przez cały dotychczasowy rozwój społeczny, ekonomiczny, kulturalny Europy czy krajów z Europą najściślej związanych jak Ameryka Północna. Wniosek: kraje zacofane nie mają najmniejszych szans dorównania krajom wysoko rozwiniętym, przepaść między nimi, mierzona dochodem na głowę ludności, wykazuje tendencję dalszego rozwarcia, pogłębiania się a nie niwelacji. Ten pesymistyczny dla krajów zacofanych wniosek jest chyba głęboko niesłuszny. Argumentu dostarcza ZSRR. Rosja carska należała niewątpliwie przed 1914 rokiem do krajów słabo rozwiniętych. Jednak ZSRR dokonał w okresie pierwszych pięćdziesiąt lat olbrzymiego skoku naprzód. Nasz autor tego nie dostrzega, albowiem jest świeżo przekonany, że rozwój ekonomiczny jest możliwy właściwie tylko w ustroju kapitalistycznym, szanującym i propagującym swobodną inicjatywę ekonomiczną. To ten ustrój wykazuje, według Moulina, doskonałą zdolność do adaptacji do nowych warunków. Błąd Moulina polega na tym, że nie wierzy, aby kraje zacofane mogły w krótszym czasie osiągnąć postęp gospodarczy niż uczyniła to Europa, a wszak działa przykład Europy i pomoce krajów rozwiniętych krajom zacofanym, co powoduje, że kraje te mogą „przeskakiwać” niektóre stadia rozwoju.

Leo Moulin dość często cytuje Marksa, ale przeważnie po to, aby z nim polemizować oraz Lenina, z reguły po to, aby mu się przeciwstawić. Moulin uważa Związek Radziecki za jeden z krajów europejskich, interesują go dane statystyczne, pomija milczeniem odrębność radzieckiej gospodarki socjalistycznej. Gdy za podstawowe kryterium uwa-

JÓZEF DUTKIEWICZ

ORYGINALNE POGLĄDY OBROŃCY EWG

ża się dochód na głowę ludności, znika wtedy z pola widzenia system podziału tego dochodu, krzyżująca nierówność majątku i dochodów w krajach kapitalistycznych. I właśnie ten fakt uchodzi całkowicie uwadze autora.

Jedną z tez autora jest twierdzenie, że przodownictwo gospodarcze i kulturalne nie jest stale przywiązane do danego rejonu, lecz zmienia się z upływem czasu. Przykładem — niezaprzeczalne przodownictwo Grecji w świecie starożytnym i jej dzisiejszy upadek i bieda. Moulin jest przekonany, że same warunki naturalne nie rozstrzygają o rozwoju ekonomicznym, decyduje „geniusz ludzki, talent organizacyjny, dyscyplina pracy”. W twierdzeniu tym mamy znaną apoteozę wolnej inicjatywy, kultu dobrego magamentu, kierownictwa, kultu menażerów: ludzi z inicjatywą, zdolnych do decyzji i ryzyka. Jedną z tez Moulina jest, że rozwój prac badawczych i nauki wyprzedza przewrót ekonomiczny. „Najpierw mamy postęp w medycynie — pisze — a dopiero potem wzrost przystość naturalnego”.

Moulin zastanawia się, czy i jaką rolę w postępie ekonomicznym odegrał fakt posiadania własnego państwa. Gotów jest przypisać dość znaczną rolę administracji państwowej, polityce gospodarczej, choć cytuje przykłady, wskazujące na to, że sam fakt uzyskania niepodległości jeszcze nie przesądza o wejściu na drogę postępu gospodarczego.

Jedną z dalszych tez książki jest twierdzenie o doniosłej roli jednostek, w kreowaniu postępu. Znowu autor zastrzega, że nie jest to czynnik jedyny, ani wyłączny, ale fakt sprawdzający się w wielu krajach. Tempo rozwoju ekonomicznego zależy od wielu czynników, zmienia się z czasem: Włochy przodowały na przełomie XIV i XV wieku, Niemcy na przełomie XV i XVI wieku, Francja na przełomie XVI i XVII wieku. Znany jest szybki rozwój gospodarczy Holandii w XVII wieku, Anglii w wieku XVIII i XIX. Analogicznie w różnych krajach poszczególne prowincje także rozwijały się nierównomiernie, jedne przodowały w danym okresie, inne — później. Autor podaje tu przykłady z prowincji francuskich, a mogłyby zacytować południową Anglię w XVI wieku i przesuwanie przemysłu na północ na przełomie XVIII i XIX wieku.

Nieco zaskakujący jest rozdział zatytułowany „Europa, córka kościoła”, w którym Moulin nie odróżnia zasług katolicyzmu i protestantyzmu, pisząc ogólnie o wkładzie kultury chrześcijańskiej, wywodząc racjonalistyczny światopogląd z myśli mediewistycznej, choć nie przeczył czynnikowi hamującego, jakim był indeks i inkwizycja. Paradoxem jest niewątpliwie twierdzenie, że myśli chrześcijańska leży u źródeł deklaracji praw człowieka. Albo inne: „marksizm wywodzi się z reguł zakonnych”.

Zgodnie z zasadniczą tezą o wieloletniej przyczynie wzrostu ekonomicznego wiele miejsca poświęca czynnikom psychologicznym, oszczędności, punktualności, dyscyplinie pracy. „Nauka i technika to są — według Moulina — zjawiska typowo europejskie”. Jego zdaniem łaknienie wiedzy jest typowe dla Europejczyka, tak samo jak pogoń za przygodą, „duch przedsiębiorczy”. Notabene Moulin za jeden z takich mitów podbudzających uważa marksizm, mobilizujący do wysiłku, do pracy. Lekki posmak sensacji ma twierdzenie zawarte w rozdziale „Od kartofla do śledzia”, gdzie autor podnosi doniosłość rozpowszechnienia kartofla. Zestawiając paradoksalnie, że kartofel przyczynił się do ekonomicznego rozwoju Europy w równej mierze, co takie cechy psychiczne jak oszczędność, punktualność, zamiłowanie do pracy. Nie uchyla się od przedstawiania faktów niesłychanego wysiłku i rozboju pierwszych konkwestantów. Jest jednak zdania, że przeceniano znaczenie rozwoju kolonialnego dla wzrostu dobrobytu krajów macierzystych, gdyż — jego zdaniem — decydowały przede wszystkim przyczyny wewnętrzne, autonomiczne.

Dalszą tezą autora jest, że rewolucja przemysłowa była uwarunkowana przez rozwój rolnictwa, przewrót w rolnictwie musiał poprzedzić przewrót przemysłowy, stwarzał dlań materialne podstawy (tu zresztą autor powołuje się na Marksa). „Rewolucja” demograficzna odbywała się równoległe do rewolucji przemysłowej. Są to dwa zjawiska sprzężone. Moulin ostrzega jednak przed przywiązywaniem zbyt dużego znaczenia do terminu „rewolucja”, jeśli chodzi o przemysł. Nie był to według niego ani nagły, ani tak nieprzewidywalny, przeciwnie — był to wynik długiego procesu stopniowych udoskonaleń.

Już to skrótowo przedstawienie tezy Leo Moulina świadczy, że książka ta była napisana typowo na zamówienie obrońców europejskiej wspólnoty gospodarczej.



logizowany, był on jednak u Sienkiewicza i za to zapewne Polacy tak tego pisarza ukochali. Dlatego też zapewne filmowy „Potop” szturmem zdobył sympatię polskiej widowni, która znalazła tak jak i w oryginalnym Sienkiewiczowskim tekście potwierdzenie wartości w kulturowej naszej świadomości najtrwalszych.

dało mi się w kinie widzieć. Podkreślam to silnie, bo o filmowym „Potopie” chcę myśleć jako o dziele, które przy wszystkich związkach z pierwowzorem istnieje, ukształtowane środkami możliwymi tylko w sztuce kina. Dlatego też uroda obrazowa „Potopu” nie powinna umykać świadomości tych, którzy gorączkowo

niem tej alternatywy kończą swe uwagi, mające charakter wypowiedzi, a nie recenzji. By być konsekwentną — napisać jej nie mogłam.

EWA NURCZYŃSKA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

STEFANIA LADA ze Skierniewic przeczytała artykuł Mieczysława Kucnera pt. „Jak czytać Biskupskiego?” i w związku z tą lekturą nadesłała pod adresem redakcji dwa pytania: „...1. Jakie imię nosi wymieniony w tytule i w artykule ów tajemniczy Biskupski?”

2. Jaki tytuł nosi publikacja Biskupskiego?”

Dalej Stefania Lada pisze: „...interesuje mnie twórczość Biskupskiego, gdyż chodzi o osobę bliską mi (duchowo)...”.

ODPOWIADAMY: Gdyby istotnie chodziło o osobę bliską (duchowo), to wypadłoby wiedzieć, że „ów tajemniczy Biskupski” nosi imię Andrzej.

A bliższe informacje na temat jego twórczości można znaleźć w 39 numerze „ODGŁOSÓW”, gdzie w ramach „Słownika Pisarzy Łódzkich” opublikowaliśmy notę informacyjną właśnie o Andrzeju Biskupskim.

Inna rzecz, że rozpowszechniła się u nas szczególnie niedobra maniera używania samych nazwisk, jakby ludzie byli pozbawieni imion. W kręgach bliższych znajomych samo nazwisko może i starcza, ale jest to też mało elegancka forma. W piśmie — wręcz nie powinna być tolerowana. Z przykrością musimy stwierdzić jednak, że zdarza się i u nas, że ukazują się w druku nazwiska pozbawione imion, choć programowo staramy się z tą manierą walczyć.

MARIOLA z Nowego koła Kutna po sopockim festiwalu z tego roku zapragnęła poznać oświadczenie Jacka Bromskiego.

...chcę w przyszłości zostać konferansjerką — pisze Mariola — i właśnie chcę trochę zacerpanąć wiadomości w tym kierunku od kogoś, kto ma już duże doświadczenie od tej pracy...”

Stąd też prosiliśmy nas o adres Jacka Bromskiego. Poprzednio zwracała się z tą samą prośbą do redakcji „Na przelaj”, ale tam go nie posiadaliśmy.

MY TEŻ nie posiadamy adresu Jacka Bromskiego, poza tym z reguły nie udostępniamy nikomu adresów sławnych i popularnych ludzi. Jeśli chodzi natomiast o zdobycie doświadczenia konferansjera, to droga do tego prowadzi przez studia, rzetelną wiedzę i długą pracę nad sobą. Uważamy, że niezbędnych informacji na ten temat udziela w Powiatowym Domu Kultury w Kutnie. Życzymy powodzenia w nauce.

MIĘDZY MANUFAKTURĄ A PRZEMYSŁEM ROZRYWKOWYM

Z dyrektorem Stowarzyszenia Muzyki Estradowej – AN-
DRZEJEM JÓZWIAKIEM rozmawia Bogusław Sikorski.

— Kieruje Pan jedną z najprężniejszych organizacji estradowo-rozrywkowych w kraju, która istnieje już pięć lat. Czy mógłby Pan, w syntetycznym skrócie, scharakteryzować działalność SME?

— SME prowadzi Klub Sympatyków Muzyki, który jest ważnym przedsięwzięciem w amatorskim ruchu artystycznym, szkoleniu i poradnictwie muzycznym. Mamy też Sekcję Nagrań dysponującą poważną dyskoteką złożoną raczej z niedostępnych na rynku nagrań, organizujemy wystawy, jak np. tegoroczna „Wystawa polskiego plakatu estradowego”, która była formą demonstracji osiągnięć wydawniczo-reklamowych krajowego przemysłu rozrywkowego. Prowadzimy też działalność odczytową, instruktażowo-szkoleniową itd. SME jest organizacją zrzeszającą muzyków, wokalistów, publicystów, działaczy i organizatorów życia muzyczno-estradowego. Współpracujemy z różnymi autorami i wykonawcami. Organizując koncerty korzystamy z usług artystów zrzeszonych w SME. Zapewnia to stały nadzór nad przygotowaniem programu i jego eksploatacją, zapewnia to ciągłość pracy twórczej członkom SME. Staramy się być dobrym mecenasem i patronem dla wszystkich talentowanych — już znanych i tych jeszcze nie znanych.

— Kto z wami współpracuje?

— „Dwa plus Jeden”, Jerzy Grunwald i „En Face”, „Bractwo Kurkowe” i Piotr Janczarski, żeńska grupa wokalna „Pro-Contral”, Dana Lerska i „Wanderpol”, Mira Kubasińska i „Breakout”, orkiestra rozrywkowa Czesława Majewskiego, „Niebiesko-Czarni”, „Camer-Ton”, Hubert Szymczyński i „Tramp”.

— To są osiągnięcia, a jakie są przeszkody?

— Przeszkód jest kilka. Na przykład: nikt dotąd nie pomyślał, by sporządzić ogólny bilans aktualnego stanu i perspektyw rozwojowych bazy twórczej, struktur organizacyjno-ekonomicznych i programowo-artystycznych tego, co nazwać możemy przemysłem rozrywkowym, a co złośliwie nazywają manufakturą. Posiadamy przecież dość dobrze rozwiniętą sieć studiów telewizyjnych, rozgłośni radiowych, sal koncertowych, dość sprawnie działającą produkcję magnetofonów, adapterów, taśm magnetofonowych i kaset, itd. Problem więc nie zawsze polega na braku koniecznych inwestycji i na niedostatku posiadanych środków. Dla mnie osobiście największym problemem jest jednak brak interesujących indywidualności wśród młodych adeptów estrady. Stara kadra wykrusza się, a poziom reprezentowany przez młodych wskazuje, że nadal brakuje koncepcji szkolenia artystów estradowych.

Zastanawiam się często jak to się dzieje, że wiele talentowanych dziewcząt i chłopców po ukończeniu studiów aktorskich, wokalnych i muzycznych najczęściej nie orientuje się wcale, gdzie i w jaki sposób może najlepiej rozwinąć swe możliwości estradowe.

— Ciekaw jestem, jak zdaniem Pana, jako menażera, wygląda przygotowanie do wykonywania zawodu wokalisty estradowego, absolwenta wydziału wokalo-aktorskiego PWSM?

— Nowoczesne szkolnictwo muzyczne na całym świecie to ośrodki szkolenia nie tylko tradycyjnego, lecz również nowoczesnego, uwzględniające potrzeby aktualnej muzycznej rozrywki: musicalu, jazzu, beatu, nowoczesnego baletu itd. U nas na muzykę rozrywkową położono kłótwę.

— Być może dlatego, że muzykę klasyczną tworzyli ludzie poważni, a dojrzałych umysłów i długoletnim doświadczeniu.

— Dla mnie Johann Sebastian Bach był wesolym grubasem, który napisał „Sarabandę”, a Beethoven, pisząc „Pieśń Biesiadników” podśpiewywał sobie:

„Poczekaj na Betsy! Napijmy się grogu! Ostatni kieliszek wychylił na progu. Któż tego odmówi?”



Ci dojrzały i poważni wcale nie chodzili na koturnach, wiedzili o tym, że ludziom potrzebna jest muzyka, która wzrusza i taka, która odpręża.

O ile sobie dobrze przypominam, Haydn skomponował swą pierwszą Mszę w wieku lat dwudziestu, Mendelssohn miał zaledwie lat szesnaście pisząc swój oktet na smyczki, Schubert zmarł w trzydziestym pierwszym roku życia, nie mówiąc już o niewiarygodnie zdolnym małym Mozarcie, czy młodym Chopinie.

W całej Europie w szkołach muzycznych wprowadza się dodatkowe klasy aranżacji pop-music, teorii, historii i praktyki jazzu i współczesnej muzyki rozrywkowej.

— Dla potrzeb rozrywki konieczna jest korekta naszego szkolnictwa artystycznego. Jest to jednak problem złożony, bowiem zmiana profilu nauczania wymaga również zmian w sposobie myślenia kadry pedagogicznej. Nie jest to sprawa łatwa.

— Istotnie.

— Mówi się o Panu, że wymyślił Pan Targi Estradowe.

— Nie wymyśliłem Targów Estradowych. Koncepcja Targów jest syntezą wielu pomysłów. Niewielki sztab wyspecjalizowanych współpracowników zrobił wszystko, aby impreza ta wypełniła pewną lukę w systemie organizacji naszego showbusinessu i stąd też jej ciepłe przyjęcie przez branżowców i prasę krajową.

Nie chciałbym jednak szerzej analizować łódzkich Targów Estradowych, bowiem po części jest to moje dziecko, a własne dzieci są zawsze najpiękniejsze, najmądrzejsze...

oko na gospodarke

Nie będzie tu ani słowa o futurologii, choć boję się, że przynajmniej część Czytelników skłonna będzie zakwalifikować ten felieton o naszych problemach gospodarczych do gatunku science fiction.

Nie o to chodzi. Jest dla każdego oczywistą rzeczą, że cały wysiłek wypada nam dziś skierować na utrzymanie uzyskanej na przestrzeni dwóch, trzech ostatnich lat bardzo wysokiej dynamiki wzrostu ekonomicznego kraju. Jest to potrzeba zarówno chwili, jak i wykładnia wszystkich naszych zamierzeń gospodarczych, bowiem bez tego — biorąc pierwszy lepszy przykład — trudno będzie mówić, a przede wszystkim utrzymać na dotychczas-

szą latami tendencją do sięgania po ekstensywne metody rozwoju produkcji — właśnie przez wzrost zatrudnienia, jak i braki w dziedzinie nowoczesnej organizacji wytwarzania.

I tutaj właśnie jest chyba miejsce i odpowiednio pole do myślenia i działania.

Zatrudnienie, problem właściwego wykorzystania człowieka w procesie gospodarowania, zrównoważenia naszego bilansu siły roboczej, wydaje się, potrzebuje nie tyle administracyjnych nakazów czy poleceń, ile wytworzenia jakiegoś mechanizmu, niejako automatycznie regulującego ten problem, zarówno w skali zakładu, jak i całej krajowej ekonomiki. Kto wie, czy takim rozwiązaniem,

PIGUŁKI na MYŚLENIE

wym poziomie wzrost stopy życiowej, inaczej mówiąc, wzrost realnych plac. Tutaj zależności są bardzo ścisłe. Jeśli jednak odzeglaliśmy się od futurologii, to wcale nie znaczy, byśmy zamierzali namawiać Czytelników do konwencjonalnego sposobu myślenia i postępowania. Przede wszystkim właśnie w działalności ekonomicznej na każdym miejscu i w pracy. Mówiąc wprost: zamierzamy właśnie zasiać choćby niewielkie ziarno niepokoju, a może jeszcze lepiej — zachęcić do refleksji, do innego spojrzenia na pewne, obrósłe już niekiedy tradycją, sprawy.

Ważny choćby problem zatrudnienia.

Prawdą jest, że jeśli chodzi o Łódź, to po raz pierwszy od wielu lat możemy tutaj odnotować dosyć istotne przemiany, przy czym dają one o sobie znać choćby w postaci takiego interesującego każdego ekonomistę faktu, jak to, że właśnie dopiero w roku 1973, powtórzy — po raz pierwszy, znaczna część wzrostu wydajności pracy przypada na lepsze „uzbrojenie” techniczne łódzkich fabryk, jest wynikiem pracy maszyn i mechanizmów, a nie wysiłku rąk człowieka. Jest to olbrzymi postęp, ale nie wolno zamykać oczu na to, że ciągle tu i ówdzie mamy do czynienia z niefrasobliwym stosunkiem do problemu właściwego wykorzystania człowieka zatrudnionego w procesie wytwarzania.

I tak jest nie tylko w niektórych łódzkich fabrykach. Od lat narzekamy w kraju na ciągle nie rozwiązyany problem deficytu siły roboczej w wielu gałęziach czy regionach Polski, borykają się zakłady i całe przemysły, dziedziny naszego życia gospodarczego z niedostatkiem kadr, a z drugiej strony można z łatwością dostrzec występujące przerosty w zatrudnieniu, przy czym u podstaw tego stanu rzeczy leży zarówno naro-

zuchającym do sięgania po najnowocześniejsze maszyny, po lepsze rozwiązania organizacyjne, a nie po siłę człowieka, nie byłoby wprowadzenie do praktyki naszego życia ekonomicznego zasady opodatkowania zatrudnienia. System taki odnosiłby się naturalnie nie do pracownika, ale do obciążającego przedsiębiorstwa, które zwiększając zatrudnienie, byłoby na przykład zobowiązane wpłacać jakiś rodzaj podatku na rzecz państwa, resortu, władzy terenowej. Taki mechanizm naturalnie działałby na koszty wytwarzania w danym przedsiębiorstwie, a tym samym zakład, sięgający po ekstensywne metody rozwoju, od razu z góry musiałby się liczyć z pogorszeniem swoich rezultatów pracy.

Nie jest to jeden przykład, wymagający przemyslenia i wart być może zachodu. Wąży inną dziedzinę, niezmiernie istotną dla naszego życia gospodarczego i społecznego, a mianowicie budownictwo. Znajdujemy się w okresie niezwykle dynamicznego rozwoju zarówno budownictwa przemysłowego, jak i mieszkaniowego przy czym i tutaj chodzi o utrzymanie dynamiki, bo tylko to gwarantuje wykonanie bardzo ambitnych zadań, od których zależy spełnienie społecznych celów naszego rozwoju gospodarczego, przyjętych przez VI Zjazd PZPR oraz I Krajową Konferencję PZPR. Przypomnijmy jeszcze, że w Łodzi, realizując program rekonstrukcji i modernizacji miasta, na przestrzeni trzech ostatnich lat wybudowaliśmy już 78 tys. izb mieszkalnych, ale przecież mamy jeszcze sporo przed sobą, gdyż do końca roku 1975 zaplanowaliśmy wybudowanie 150 tysięcy izb mieszkalnych. Nie muszę dodawać, że tak dynamiczny program oznacza również pojawienie się pewnych napięć, przy czym wynikają one zarówno z pewnych braków w dziedzinie włas-

ciwego wykorzystania potencjału produkcyjnego czy materialowego, jak i ciągle dosyć tradycyjnego patrzenia na tę dziedzinę naszego życia.

Budownictwo, to przecież olbrzymi „pożeracz” różnego rodzaju materiałów i surowców. Wzrost tylko cement. Jeśli nie uwzględnimy nowych możliwości, które stwarza rozwój chemii oraz innych rodzajów produkcji, to przy obecnym tempie rozwoju budownictwa w naszym kraju w roku 1980 pobijemy absolutny rekord światowy zużycia cementu (licząc na jednego mieszkańca), przy czym od razu sobie tutaj powiedzmy, że takim rekordem nie warto się afiszować. Inna sprawa, to różnego rodzaju urządzenia, służące do wyposażeń mieszkań. W roku 1975 będziemy mieli do dyspozycji budownictwa około 250 tys. wanien żelitych produkcji krajowej, ale 215 tys. trzeba sprowadzić z zagranicy. Żelito, to ciągle jeszcze surowiec niezwykle deficytowy, a równocześnie w innych

krajach dawno przeszło się na produkcję urządzeń sanitarnych, właśnie wspomnianych wanien z blach odpowiednio spreparowanych, co umożliwia zarówno oszczędność surowca, jak i zwiększa możliwość produkcji.

Też warto o tym pomyśleć.

Wydaje się, że wiele kłopotów, z jakimi borykają się mieszkańcy nowych bloków, dałoby się uniknąć, gdyby w ślad za przemysłowymi metodami wznoszenia domów poszły również jeszcze szerszym frontem zupełnie odmienne poczynania w dziedzinie wyposażenia tych mieszkań. Nie zawsze tradycyjne drewno, obrabiane niekiedy w pospiechu a w dodatku ciągle deficytowe, spełnia we właściwy sposób funkcje, do których wyznaczają ją budowniczo. Wykładziny podłogowe — zastępujące tradycyjną klepkę tkaną będącą zarazem dywanem, to tylko jeden ze sposobów prowadzących do wygłuszenia naszych hałaśliwych mieszkań i uchronienia lokatorów przed kłopotami wynikającymi z rozsyhających się parkietów. Na tym przecież nie koniec. U podstaw takich zabiegów, wybiegających poza konwencjonalny sposób produkowania tradycyjnego przecież „wyrobu”, jakim jest mieszkanie, leży możliwość znacznego przyspieszenia i poprawienia jakości. A to już jest bardzo liczy.

Musimy utrzymać uzyskane olbrzymim wysiłkiem tempo rozwoju naszej ekonomiki. Wydaje się, że zależy to w co najmniej równym stopniu od rzetelnej pracy, jak i uruchomienia zupełnie nowych możliwości, stwarzanych przez niekonwencjonalne, a może raczej po prostu — bardziej odważne i nowoczesne — myślenie.

KRYSZTOF POGORZELEC

TELEWIZJA

PUSTE DNO POPIOŁU

Powodowany jubileuszową powinnością teatralną a ostatnio telewizyjną renesans „Popiołu i diamentu” Jerzego Andrzejewskiego zamiast niespodziewanie spodziewana satysfakcja, tak ideowa, jak i artystyczna, mocno zalatywał mdłym zapachem ekshumacji. Trzeba jednakże rozumieć, że wyciągnięcie reki po ten właśnie utwór z tej właśnie okazji stało się nieomal odruchem bezwarunkowym. Bowiem drukowana w odcinkach w 1947 roku na łamach „Odrodzenia” powieść pod pierwotnym tytułem „Zaraz po wojnie” stała się z czasem (ale nieprędko) jeśli nie wręcz podrodzinkiem świeżej historii, to na pewno jej — jak sądzono — żywą ilustracją „zawierzoną do użytku szkolnego”. Dziś, po latach widać wyraźnie, że blask powieściowego „Popiołu i diamentu” jest światłem odbitym od filmowego ekranu. Andrzej Wajda adaptując dziesięć lat później ten utwór wykreślił z jego nieco bezkształtnej miazgi zachowań i postaw kompozycję zwięzłą i — mimo zatópienia w symbolicznej aurze — kryształnie celową. Zrezygnował z realistycznych motywacji, którym w powieści daleko było do przejrzystej zborności i siłą napędową fabuły uczynił fatalizm losów bohaterów, odbierając ich przejmującym tragizmem, który dość blado wypadł w oryginalne. Stworzył filmowe arcydzieło, które artystycznie skodyfikowało pewien światopogląd daleko wykraczający poza literacki punkt wyjścia. Z powieści politycznej nader ostrożnie rozeznającej się w wirze powojennego chaosu uczynił filmową tragedię z nieomal metafizycznym pułapem. Inna rzecz, że Wajda robił film z dystansem, oglądał wówczas i historię i powieść z ostrego zakrętu, gdzie widoczność była ostrzejsza i dalsza, a klimat społeczno-polityczny zaczął sprzyjać metafizycznym lukusom. Polityczny powikłaniem społecznej rewolucji nadal porządek mityczny odległy od prawdy historycznej i obyczajowej tamtych lat. Ba, w sferze obyczajowej ignorancja była bardziej

ostentacyjna na rzecz rymowania się ze stylem późnych lat pięćdziesiątych, który film w jednakim stopniu powtórzył co ustalił.

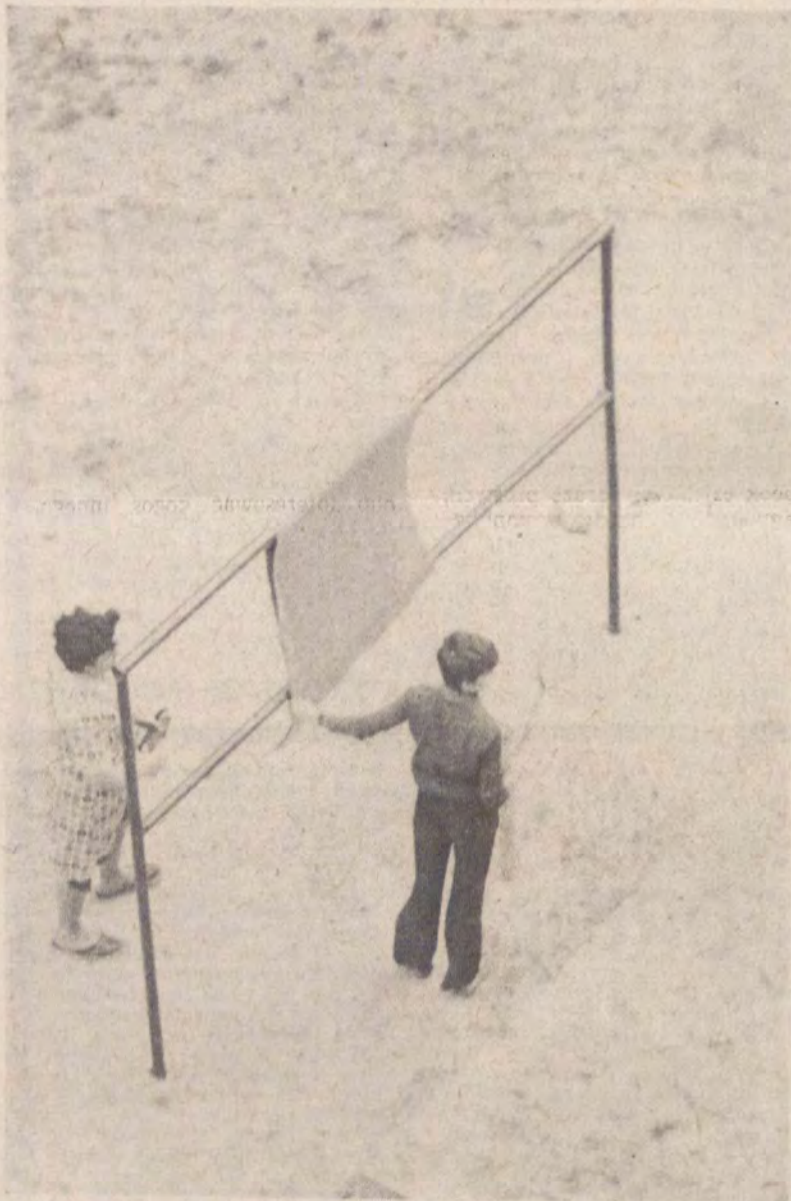
Autorzy telewizyjnej adaptacji zwrócili się w stronę powieści z solennym zamiarem możliwie kompletnej rekonstrukcji jej znaczeń politycznych, społecznych, moralnych, a nawet obyczajowych. Tak więc nie tylko Chelmiński i Kossecki, ale i Szczuka, Jędrzejko i Kossecki, także etyczny dyskurs wokół sprawy sędziwego i brzytwy zamiast dzinsów. Słowem — całe dobrodziejstwo inwentarza streszczonego na potrzeby dwugodzinnej spektakli. Poprzez ten pletym dla oryginalności porzucił wiaerna wiara adaptatorów w obiektywny sens historyczny epoki, który miałby w utworze Andrzejewskiego znaleźć prawie szczegółową fotografię. Tymczasem „Popiół i diament” był pomyślany w swoim czasie — jak to przekonywająco udowodnił niedawno Jan Błoński — jako swego rodzaju powieść interwencyjna. Pod ilustracjami różnych skłóconych postaw narrator przezornie umieszcza pod spójny usprawiedliwiający je przed drugimi. „Pisarz prosił o listę dla zwyciężonych i wyrozumiałość dla zwycięzców”. Wobec tych założeń powodowanych humanistycznymi intencjami autora „Ciężmości kryją ziemię” trudno mówić o obiektywizmie, który nawet jeśli w ogóle w historii jest możliwy, to przecież musiał przysnąć pod naporem interwencyjnych zabiegów. Jednakże gorliwi adaptatorzy jakby ich nie dostrzegli i z czolobitną pedanterią streścili powieść na jubileuszowy użytek, przejmując tym samym jej mistyfikacje, które dają się usprawiedliwić brakiem czasowej odległości. A przecież ta świeża historia zdążyła już zastąpić we wzór uwolniony już po wielu przekształceniach od propagandowych zobowiązań. Uchylając się z braku miejsca od dokładniejszych wyjaśnień wyrażę jedynie zwątpienie w możliwość oddziaływania pod ten wzór elementów fabuły „Popiołu i diamentu”. Sceptycyzm ten nie równa się wszakże

bezgranicznemu podziwowi, jakim napawa mnie stracająca wręcz odwagę Zygmunta Hübnera, który podjął się telewizyjny „Popiół” wyreżyserować. To trochę tak, jakby ktoś chciał natomiast, ale inaczej napisać — powiedzmy — „Konrada Wallenroda”. Bowiem próba Hübnera musiała być skazana w odbiorze na niedosyt opanujący z obsesyjnego porównywania jej z wielce sugestywnym obrazem Wajdy. Mniemam, że tego proceduru mimowolnie dokonywała znakomita większość telewidzów, ponieważ filmowy „Popiół i diament” jest nieomal powszechnie znany na pamięć ujęcie do ujęcia, jak — bez przesady — strofy wielkiej poezji narodowej. Tymczasem Hübner liryzm i ekscesywnie waldowskiej inscenizacji niekiedy zastąpił realistyczną prozą telewizyjną, nader niewyszukanych stylizowanych obrazów. Tam gdzie Wajda hionotyzował wida dramatyzmem filmowej narracji i drapieżną plastyką kadrów, tam Hübner nudy ubóstwem rozważań reżerskich a nawet żenująca u dojrzałego skądinąd twórcy indolencją inscenizacyjną.

To wrażenie potęguje gra aktorów, którzy łącznie z Tadeuszem Lomnickim w roli Szczuki nie potrafili ożywić przydzielonych postaci. Przed tym zarzutem broni się jedynie Marjan Kociniak, Ewa Zukowska, może jeszcze Bronisław Pawlik... i oczywiście jedynie odkrywcę tego przedstawienia — Piotr Cieślak (Andrzej Kossecki), młody aktor o intrygującej fizjonomii, który potrafi niezwykle subtelnie wygrać jej walory. Zabawnych zaś wysiłków dokonywał w roli Maćka Chelmińskiego Krzysztof Kolberger, który za wszelką cenę pragnął oderwać się od wyraźnie znieuwalniającego go interpretacji Zbyszka Cybulskiego.

Powtarne powołanie do życia bohaterów tej książki nie osiągnęło zatem pożądanej temperatury emocjonalnej. I kłęka ta nie jest — jak wolno przypuszczać — wymierna jedynie na skali artystycznych talentów, ale także wyraża ogólny stan społecznej świadomości. Chyba raczej miał Jan Błoński, pisząc: „Popiół” jest jeszcze gorący — przynajmniej dla pokolenia, które pamięta. Stygnie jednak z każdym rokiem”.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



Z MOJEGO OKNA

FOTOREPORTAŻ:
JANUSZ MENDYCHOWSKI



FRANCJA 1974

Od dawna wiele się u nas pisze i mówi o wciąż wydłużającej się drodze, wiodącej od autorskiego maszynopisu do wydrukowanej książki. Każdy kto ogłosił w życiu bodaj jedną książkę przyzna, że jeśli proces jej opracowywania przez wydawnictwo i druk trwały łącznie półtora roku, było to w naszych warunkach niezmiernie szybko. Prócz różnorodnych przeszkód natury technicznej najsukcesyjniej działającym hamulcem są mnożące się biurokratyczne przepisy, wydawane w celu ulepszenia istniejącego stanu, ale działające skutecznie akurat w przeciwnym kierunku. O jednym z nich, całkiem świeżym, pisano ostatnio na łamach „Polityki”. Owocem tej sytuacji jest że bardzo często, by nie rzec: w ogóle, książka dezaktualizuje się jeszcze zanim ukaże się w druku: jej nieaktualność godzi przede wszystkim w autora, przedstawiając go czytelnikom jako kogoś, kto nie nadąża za

zmieniającą się rzeczywistością. Stan ten kładzie na obie łopatki naszą książkową publicystykę polityczną; wciąż niezmiernie mało jest u nas książek, poświęconych rzeczywiście aktualnym zagadnieniom politycznym, a nie ich... historii. Jeżeli bowiem publicysta z góry wie, że jego maszynopis, choćby był nie wiem jak aktualny i opracowany „na dziś”, ukaże się w druku, w najlepszym razie w przyszłym roku redaguje tekst tak, aby nadać mu charakter maksymalnie zbliżony do relacji historycznej, przy której zajmowanie się tym co było wczoraj i przedwczoraj nikogo nie razi; w ostatniej chwili można przecież będzie dopisać takie lub inne aktualizacyjne zakończenie, które usprawiedliwi całość publikacji. I dlatego, gdy się coś ważnego dzieje w świecie, publikacji na ten temat nie ma nawet na lekarstwo; gdy zaś sprawy przestały już wszystkich pasjonować i stały się

przeszłością, wówczas dopiero pojawiają się książki, skutecznie rozmiągające się z zainteresowaniami odbiorców.

Jak się to stało, że Zygmunt Broniarek napisał od 14 maja do 10 czerwca bieżącego roku książkę „Walka o Pałac Elizejski — 1974”, poświęconą majowym wyborom prezydenckim we Francji, mogą sobie wyobrazić. Po prostu ambitny i wybitny publicysta zakasał rękawy i napisał pasjonującą, aktualną książkę polityczną. Ale jak mogło dojść do tego, że ukazała się ona w księgarniach w połowie tego samego, 1974 roku? Tego wyjaśnić nie potrafię, bowiem fakt ten zaprzecza wszystkiemu, co wiadomo o mechanizmach rządzących publikowaniem książek w naszym kraju. Czyżby aż tak wiele polepszyło się w tej dziedzinie, że możemy się spodziewać, iż i na przyszłość będziemy mieli coraz więcej aktualnych publikacji o sprawach współczesnych, książek tropiących na gorąco dokonujące się w świecie zmiany, nie będących relacjami już tylko o tym, co się zdarzyło w przeszłości, interesującymi już tylko historyków? A tego przecież należałoby sobie życzyć. W każdym razie jesteśmy świadkami operatywności Wydawnictwa MON, które ogłosiło książkę Z. Broniarka w serii „Ideologia — Polityka — Obron-

ność”, za co należy mu się najwyższa pochwała. Bo i temat, i książka warte były zachodu wydawcy, tak jak warte są zainteresowania naszych czytelników. Tym bardziej, że Z. Broniarek posiada pióro znakomite, potrafi pisać rzeczywiście interesująco, jest jednym z tych publicystów, którzy umieją zanotować i przekazać dramatyzm ważnych wydarzeń, owo napięcie stanowiące nieodłączny element stawiania się spraw istotnych, ważnych na kształcie współczesności.

Nie myślę tu streszczać relacji Z. Broniarka; miałoby się to z celem flettonisty. Śmierć prezydenta G. Pompidou była dla nas wszystkich zaskoczeniem; zaskoczyła ona także Francuzów, chociaż od dłuższego już czasu krążyły uporezywe plotki o stanie zdrowia prezydenta. Wiosną i latem ubiegłego roku były one ulubionym tematem rozmów; ileż to razy moi francuscy znajomi zwracali mi wówczas w Paryżu uwagę na to, że G. Pompidou ma wygląd człowieka ciężko chorego, zupełnie inny niż wówczas, podczas kampanii wyborczej w 1969 r., która kiedyś miałem okazję śledzić podczas bytności w stolicy Francji. Wybory z 1969 r. uświadomiły siłę lewicy francuskiej, a jednocześnie jej słabość w związku z rozbiem

politycznym; wybory z 1974 r., pokazały, co może znaczyć lewica wówczas, kiedy w zjednoczonym froncie stanie do walki wyborczej ze swymi przeciwnikami Gaullizm, który postronemu obserwatorowi zdawał się być na długie jeszcze lata fundamentem politycznym państwa francuskiego zachwiał się w posadach nie tylko dlatego, że w wyborczej walce nie miał kandydata o tak wysokim autorytecie, jak zmarły prezydent, ale dlatego, że z wielką siłą wystąpiła przeciwko niemu zjednoczona lewica. Jest przecież faktem, że jej kandydat Mitterrand znalazł się o włos od fotela prezydenckiego, że jak słusznie podkreśla Z. Broniarek Francja po raz pierwszy w swych powojennych dziejach znalazła się „w obliczu alternatywnego rozwiązania, które miało szansę zwycięstwa”. Przeważny głos 400 tysięcy ludzi. Dlaczego? Poszukując odpowiedzi na to ważne pytanie prześledźmy raz jeszcze przebieg wydarzeń, przyjrzyjmy się środkom walki wyborczej, mechanizmowi uruchamiania straszków z epoki skrajnego antykomunizmu... Pomoże nam w tym lektura książki Z. Broniarka.

LEKTOR

BYĆ POTRZEBNYM...

— Tak bardzo wzruszyłam się, kiedy stanęliśmy już w szeregu, że musiałam coś powiedzieć, do kogoś przemówić. A stał obok mnie Jerzy Putrament, więc powiedziałam do niego: — „Cieszę się, że mogę Towarzysza poznać, do tej pory znałam Was tylko z książek”. Ale niewiele czytałam jego książek i dopiero teraz, na urlopie w Spale, przeczytałam prawie wszystko, co napisał. — Tak wspomina ową chwilę, z 22 lipca 1974 roku, GENOWEFA RUSZKOWSKA kiedy stojąc obok Jerzego Putramenta otrzymała Order Budowniczego Polski Ludowej. I zwracając się reporterce ze swoich myśli i marzeń, ze swoich zmartwień i radości, ciągnie opowieść o swoim życiu, któremu zawsze przyświecała myśl: Być człowiekiem potrzebnym innym. Posłuchajmy tej opowieści.

— Jaki był początek? Jak zaczęło się moje życie, moja praca? Zwykle na takie pytania odpowiada się, sięgając pamięcią do dawnych lat, do tego momentu, kiedy człowiek z ucznia staje się dorosłym, kiedy odczuwa ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności. W moim życiu nie był to moment radosny. Szkołę ukończyłam z dobrym wynikiem i nauczyciele rekomendowali mnie do handlowki, ale w domu było ciężko i rodzice powiedzieli mi otwarcie: — Nie damy rady dalej cię kształcić. Wniosek musiałam wyciągnąć sama. Trzeba było iść do pracy, a wówczas dzieci z rodzin włókienniczych najczęściej do fabryk włókienniczych szły po pierwszą pracę. Więc i ja poszłam śladem moich rodziców.

Nie od razu jednak dostałam się do pracy. Próbowaliśmy trochę dorobić szyćmi, czekając na wolne miejsce w fabryce. Na dwa lata przed wojną dostałam wreszcie pracę w małej tkalni przy ul. Targowej, a w czasie okupacji pracowałam też w małej tkalni przy ul. Pabianickiej. I w czasie okupacji, bo w 1943 roku, zaczęłam pracować tu, gdzie dziś pracuję, w „Pierwszej”. Pracowałam na różnych stanowiskach i zaraz po wojnie pomagałam usuwać zniszczenia i uruchamiać fabrykę.

— Kiedy zaczęło się moje życie polityczne? Do Polskiej Partii Robotniczej wstąpiłam 20 marca 1945 roku, bo zrozumiałam, że tylko razem mo-

żemy coś zrobić. Wtedy praca polityczna odbywała się głównie przy instancjach zakładowych. To przecież były czasy kształtowania się władzy ludowej, naszej państwowości. Wiele trzeba było zmienić, przebudować.

— Co ja robiłam? Skierowano mnie do pracy propagandowej, do pracy agitacyjnej. Brałam udział w referendum, w innych akcjach. Dziś, kiedy chcemy dotrzeć do społeczeństwa, to wykorzystujemy prasę, radio, telewizję. Wtedy trzeba było samemu dotrzeć z politycznymi treściami do każdego niemal domu, podjąć dysku-

sję, trzeba było posiadać argumenty, aby umieć wyjaśnić tym, którzy mieli wątpliwości i przeciwstawiać się tym, którzy byli przeciwni naszym racjom. To była trudna, ale ciekawa praca.

Obecnie jestem członkiem komisji skarg i wniosków Komitetu Zakładowego partii.

— Moje życie zawodowe? Pracowałam na różnych stanowiskach, w różnych działach. Byłam robotnicą, potem mistrzem, a teraz pracuję jako kierownik oddziału przygotowawczego.

O. zmieniło się na tym oddziale, tak jak zmieniła się cała „Pierwsza”. To już nie ta fabryka. Gdyby przyszedł tu starzy pracownicy oddziału przygotowawczego, to by nie poznali tego oddziału, choć mamy tylko jedną maszynę nową. Pozostałe zostały odnowione i zmodernizowane.

— Jak długo pracuję na oddziale przygotowawczym? Zaczęłam tu pracować jako mistrz w 1952 roku, a kierownikiem zostałam w 1967 roku. Znam więc ten oddział, ludzi, którzy tu pracują, znam sprawy produkcyjne i maszyny. I ta znajomość wychodzi nam na dobre, choć mistrzem na oddziale przygotowawczym zostałam przez przypadek. Skierowano mnie tu na zastępstwo koleżanki, która poszła uczyć się. Czekaliśmy, aż przysła nowego mistrza na jej miejsce, a kiedy zbyt długo to nie następowało, poprosiłam o przeniesienie mnie do innej pracy, składając rezygnację na piśmie. Ta rezygnacja leży do dziś gdzieś w aktach dyrekcji, gdyż jej nie wzięto pod uwagę. Kazano mi dalej pracować jako mistrz. Pracowałam, aż przysłała nominacja na kierownika.

— Dlaczego to wychodzi na dobre? Z bardzo prostej przyczyny. Znajomość spraw oddziału pozwoliła nam usprawnić wiele czynności. Zastosowaliśmy wózki do zdejmowania wałków z maszyn i przewożenia ich do regału. Maszyny do sycia otrzymały zamiast napędu nożnego, napęd elektryczny. Zastosowaliśmy suwak ułatwiający przesuwanie ciężkich bel od stołu do maszyny. Te same maszyny szyją do dziś, zostały tylko zmodernizowane. Overloki też dostałyśmy stare. Musiałam nauczyć się szyć na overloku, aby potem nauczyć tego pracownice. Trzeba było te overloki doprowadzić do porządku, wyremontować. I dziś pracują, a wydajność oddziału stale nam rośnie. Właśnie dzięki takim drobnym usprawnieniom, które ułatwiają pracę, czynią ją lżejszą. Zastosowaliśmy teraz inny sposób zszywania partii materiału przeznaczony do bielnika i podniosła się wydajność w bielniku.

Praca oddziału przygotowawczego wykończalni staje się dziś coraz bardziej skomplikowana i wymaga innego podejścia. Musimy stale pamiętać, że przemysł lekki modernizuje się, że wchodzi do produkcji coraz to nowe maszyny, zmieniają się sposoby wykańczania tkanin czy dzianin a i te są już dziś inne niż dawniej. Dlatego, obok czynności bardzo prostych, spełniamy również bardzo skomplikowane. Do takich należy nawijanie dzianiny na bęben farbarki ciśnieniowej. Nawija się do 12 tys. metrów dzianiny i jeśli przy nawijaniu powstanie błąd, to całe 12 tys. metrów dzianiny trzeba będzie wyrzucić. To

już precyzja i znaczny wzrost odpowiedzialności.

A więc nie wystarczy tu tylko samo doświadczenie, potrzebna jest też wiedza, stałe myślenie o tym, że przemysł lekki już nie stoi w miejscu, stała uwaga na zmiany, jakie się w nim dokonują.

— Czy mówią że mam męski sposób myślenia i męskie podejście do sprawy? Myślę, że nie o to chodzi. Osobiście dobrze pracuję mi się zarówno z mężczyznami, jak i z kobietami, choć skłonna jestem uznać, że kobiety są bardziej zdyscyplinowane od mężczyzn, ale to mój pogląd, nie wszyscy mogą go podzielać. Jeśli umiem sobie radzić z trudnymi sprawami i kierować oddziałem, to chyba przede wszystkim dlatego, że od młodych lat uczyłam się samodzielności i starałam się być potrzebną innym. Wydaje mi się, że człowiek powinien nie tylko sam brać od innych, ale powinien przede wszystkim dawać innym coś z siebie pomagać innym być im potrzebnymi. I jeśli człowiekowi udaje się być potrzebnym, to może uznać swoje życie za dobrze spędzone.

— Jak rozumiem samodzielność? Nie tylko w postępowaniu, ale i w myśleniu. Pamiętam, że w czasach, gdy „Pierwsza” produkowała zaledwie 10 artykułów, a dziś produkujemy ich przeszło setkę, nie było rozliczeń między wydziałami. Dostawaliśmy kwity, ale ile faktycznie posiadaliśmy materiału, tego nikt dokładnie nie wiedział. Zaproponowałam wtedy pewien sposób rozliczenia, który został opracowany przez fachowców i po zmodernizowaniu w późniejszych latach służy nam do dziś. Wydaje mi się, że takie postępowanie wynikało z samodzielności myślenia, z braku obaw przed ryzykiem działania.

— Czy nie próbowałam później uczyć się? Miałam taką propozycję, aby iść do technikum dla robotników, ale przyszła ona w okresie, kiedy nie mogłam podjąć takiej decyzji. Gdyby przyszła wcześniej...

Nie żałuję jednak. Staram się uczyć przez całe życie, uczyć się tego, co inni chętnie mi przekazują, uczyć się z doświadczeń innych, czytać dużo, staram się być potrzebna i w miarę moich sił i możliwości być w samym centrum spraw, które dzieją się wokół.

I czasem, gdy mnie pytają o moje życie, to zastanawiam się, czy może ono interesować kogoś innego czy może być dla innych ciekawe i pouczające?

Notowała:
BOGDA MADEJ



Fot. Włodzisław Parys

KAZIMIERZ BLESZYŃSKI

Kazimierz Bleszyński (1881—1972) — działacz rewolucyjny, filozof, poeta, dramaturg, tłumacz, krytyk, a także edytor i protektor młodych literatów to postać tyle barwna, co zapoznana. Wielu spośród tych, którzy go znali z widzenia bądź ze słyszenia, zastanawiali się, kim on właściwie był i co robił. Był członkiem Łódzkiego Oddziału ZLP, lecz zaledwie garstka wtajemniczonych znała bądź pamiętała jego zasługi dla kultury polskiej. Okres aktywności twórczej K. Bleszyńskiego przypadł bowiem na pierwsze lata naszego wieku i dwudziestolecie międzywojenne. Po wojnie przypomniał się on czytelnikom zaledwie dwiema książkami — sztuką „Szekspir i owce”, wydaną w roku 1961 oraz interesującym tomem pamiętników „O mnie i nie o mnie” (1963).

Gdyby zaś znalazł się badacz, który by zechciał prześledzić dokładnie jego drogę twórczą, podjąłby się pracy iście szczytowej, gdyż K. Bleszyński wyznaje w pamiętnikach, że ze względu na cenzurę carską, a także na panującą podówczas modę używał pseudonimów co niemiara. Cechowała go również beztrojska gródna człowieka, który był bliskim przyjacielem Franciszka Fiszera, toteż nie zbierał, ani nie wydawał w formie książkowej swych poważniejszych prac. Niestety, zgubił on szereg rękopisów.

Kazimierz Bleszyński urodził się w Błaszach koło Sieradza. Do szkół uczęszczał w Radomsku i Warszawie. Pochodził ze znanej rodziny szlacheckiej, zasłużonej dla kraju i zubożałej po upadku powstania w roku 1863. Błaszki bowiem przejęły władzę carskie, ojciec zaś Kazimierza Bleszyńskiego po powrocie z emigracyjnej tułaczki był już tylko dzierżawcą jakiegoś mizernego majątku i odumiał go wcześniej. K. Bleszyński wstąpił jako ochotnik do ar-

mi carskiej. Lecz jako podchorąży miał już wyniesione z domu rodzinnego i szkół — zamiłowanie do pracy spiskowej. Działalność więc we Wszechrosyjskim Związku Oficerów. Jego konspiracyjna praca polegała głównie na agitacji wśród mas żołnierskich i kolportowaniu pism rewolucyjnych, do których sam pisywał artykuły. Po zakończeniu służby wojskowej rzucił się w wir pracy partyjnej. Był nie tylko konspiratorem, lecz także autorem wielu artykułów w socjalistycznej prasie podziemnej, tłumaczem m. in. prac Karola Marksa. W tym czasie pod własnym nazwiskiem drukował refleksyjne liryki w „Chimerze”.

Aresztowany za działalność rewolucyjną przez Ochranię odsiedział kilka miesięcy w więzieniu warszawskim, skąd udało mu się zbiec przez Galię na emigrację. Podjął studia filozoficzne w Berlinie u neokantysty Georga Siemela, a następnie filozofa i psychologa Aloisa Riehla. Następnie przeniósł się do Lipska, później zaś do Heidelbergu. Jednakże zainteresowany nowinkami z Paryża wyjechał tam, by słuchać wykładów Henryka Bergsona. Później studiował w Brukseli, gdzie wykładał uczniowie tego filozofa.

Bydąc na emigracji K. Bleszyński utrzymywał dość ożywione kontakty z krajem. Pisywał artykuły do „Robotnika”. Następnie nawiązał korespondencję z „Krytyką Krakowską”, gdzie miał nawet stałą rubryczkę. „Myśl filozoficzna”. Pisywał też do „Nowej Gazety” w Warszawie. Jego artykułem Jan Lorentowicz otworzył dodatek literacki tego pisma.

W okresie pobytu na emigracji przełożył i wydał on w kraju „Siedem” Hermanna Hessego, a następnie w Krakowie ukazało się pierwsze wydanie „Wstępu do metafizyki” Henryka Bergsona w przekładzie i z komentarzem K. Bleszyńskiego. W



Belgii też powstał traktat Bleszyńskiego „O Jaśni i Ciemni Bytowej”, opowiadania i sztuka teatralna (nigdy zresztą nie wydane). Przekłady „Iluminacji” i „Sezonu w piekle” Jeana Artura Rimbauda zgubił Bleszyński w rękopisach jeszcze — Stanisław Brzozowski. Nie mamy uściślij pełniejszych informacji, lecz wiemy, że w owym okresie Bleszyński również drukował artykuły filozoficzne w pismach niemieckich. W okresie wojny zaś, gdy Belgia znalazła się pod okupacją niemiecką, z inicjatywy Bleszyńskiego i przy jego czynnym udziale zaczęto wydawać podziemne pismo „Flambeau”. Był to organ liberalów belgijskich, który otrzymał się również po wojnie.

Z ważniejszych prac filozoficznych Bleszyńskiego godna przypomnienia wydaje się być obszerna polemika z Leonem Chwistkiem na łamach „Przeglądu Warszawskiego”. Po pierwszej wojnie

— rozczarowany konfliktami w ruchu socjalistycznym Bleszyński oddaje się wyłącznie pracy literackiej i filozoficznej. Wybrano go na członka Towarzystwa Filozoficznego i przez dłuższy okres czasu podpisywał on „Przegląd Filozoficzny”. W pierwszych latach po wojnie wykładał też w szkołach średnich filozofię i psychologię. Później przeszedł do pracy w cenzurze filmowej, a następnie osiadł w „Raju”, gdzie pełnił funkcję stałego recenzenta i doradcy. Patronował debiutowi Poli Gojawczyńskiej. On też jako jeden z pierwszych poznał się na prozie Witolda Gombrowicza i Brunona Schulza. Pisywał w tym okresie czasu artykuły i recenzje do „Wiadomości Literackich”, współpracował z innymi pismami.

Warto wrócić do dostępnych współczesnemu czytelnikowi utworów literackich Kazimierza Bleszyńskiego. Sztuka „Szekspir i owce” pisana już przez starca, wielobiciela Szekspira, ma charakter dydaktyczny i kwituje niedole chłopca angielskiego w okresie słynnych rugów. Nie znalazła ona większego oddźwięku ani w teatrze, ani w prasie literackiej. Natomiast fascynującą lekturę stanowi pamiętnik — „O mnie i nie o mnie”. Tytuł dość rzetelnie oddaje intencje autora z tym jednak zastrzeżeniem, iż siebie potraktował on istotnie skromnie. Stosunkowo wiele miejsca poświęcił zasłużonej dla kraju rodzinie Bleszyńskich, jak i Sękowskich, równie zasłużonemu rolowi, z którego wywodziła się jego matka. Czasami wypada żałować, iż pamiętnik ów pisany był dość oszczędnie, że autor, który był świadkiem interesujących wydarzeń początku naszego wieku, oszczędził nam szczegółów. A przecież uczestniczył w ruchu rewolucyjnym i w rewolucji jaka dokonała się w dziejach naszej kultury na początku wieku.

Ważniejszy epizod pamiętnika to

niewątpliwie „sprawa” Brzozowskiego, którego autor broni przed zarzutami, przytaczając ważne argumenty.

Drugi ważny fragment jego pamiętnika, to wykład o poglądach filozoficznych słynnego Franciszka Fiszera, który wywierał w okresie międzywojennym niemały wpływ na środowisko literackie. A przecież poza Kazimierzem Bleszyńskim nikt bodajże nie zajmował się tą sprawą. Wykład jest jasny, przejrzysty, wsparty dowcipną anegdotą o Fiszerze. Podobnych, interesujących fragmentów znajdziemy w tym pamiętniku znacznie więcej.

Kazimierz Bleszyński dotrwał do naszych czasów, lecz przynależał do formacji „Młodej Polski”. Dla niego Gojawczyńska czy Gombrowicz — to była „młodzież literacka”, którą on łaskawie protegował. Nie pozostało to bez wpływu na jego sposób myślenia. Ważne jest jednak to, że dał on opis wydarzeń i faktów minionej epoki, których nie znajdziemy w innych książkach współczesnych, ani powstających w tamtej epoce. A przecież ciekawe są nawet anegdoty o Andrzeju Strugu, Władysławie Reymoncie, Stanisławie Przybyszewskim, prof. Henryku Ulaszynie i wielu innych. Nie do pogardzenia są też wzmianki o działaczach rewolucyjnych tamtych czasów czy o ruchu niepodległościowym. Pilny czytelnik może doszukać się w tej książce wielu interesujących przyczynków historycznych.

Sądymy, że warto, by w przyszłości badacze zajęli się rozproszoną spuścizną po Kazimierzu Bleszyńskim, być może niejedną z jego prac, szczególnie filozoficznych, posiada wartości, które warto wyeksponować.

JÓZEF HENRYK
WIŚNIEWSKI

REKOLEKCJE DLA GŁUCHONIEMYCH

Pan antykwaryusz Sodula siedział przy oknie w kącie pomieszczenia sklepowego. W prawej ręce trzymał książkę jakiegoś francuskiego autora, mały palec lewej ręki prowadził w tym samym czasie po mapie Paryża, zawieszony na ścianie obok niego. Jeśli więc czytał powieść Balzaka lub Wiktora Hugo, palec jego zawsze bezbłędnie określał miejsce akcji, a droga tego palca nieomylnie wskazywała wędrowki bohaterów.

— Byliśmy na Montmartre, Montmorency, Epinay, Argenteuil, zatrzymaliśmy się dzisiaj w Montparnasse — mówił pan Sodula, odkładając książkę i dia odpreżenia przeglądał ostatni rocznik „Playboya”. — Ach, Francja, cywilizacja, Riviera, wysoka świadomość seksualna.

Co kilka dni odwiedzał pana Sodulę emerytowany profesor filozofii Bolesław Czyżpełka z Wina. W drzwiach antykwariatu ukazywała się najpierw laska profesora, potem nogi w getrach, a potem wchodził sam profesor. Wtedy pan Sodula, odrywał palec od mapy i wybiegał naprzeciw.

— Witam, witam, panie profesorze, witam, drogi syllogist! — wykrzykiwał pan Sodula, potrząsając ręką profesora. — Dzień dobry.

Pan antykwaryusz z fotela przekładał wszystkie książki na półkę i zapraszał profesora do zajęcia miejsca.

— I cóż w pana wewnętrznym świecie słychać, drogi syllogist? — rozpoczynał rozmowę antykwaryusz.

Profesor Czyżpełka bujał powoli w fotelu, jak w obłokach i w wielkim zamyśleniu odpowiadał pytaniem:

— Cóż jest, jeśli jest, nie będąc?

Pan antykwaryusz zamyślał się na długą chwilę, a potem pytaniem odpowiadał na pytanie:

— Czego zaś nie ma, jeśli nie ma, będąc?

Ja układałem książki na górnym regale: Dante, Dąbrowska, Defoe, Diderot i uważnie przysłuchiwałem się rozmowie.

— Nie ma niczego bez przyczyny, czemu jest racja, niż nie jest — odrzekł profesor i buchnął dymem.

— Bo według mnie, panie profesorze, rację miał filozof Bergson. Świat powstał z pierdnięcia materii — powiedział pan Sodula, który czasem lubił wyrażać się dosadnie.

— Czyżby, czyżby miał rację — odrzekł pan profesor — bo według mnie rację świata nie ma. Blizszy prawdy był już stary Gorgiasz, twierdząc, że niczego nie ma. A jeśli już coś jest, to nie da się tego udowodnić. A jeśli już się da udowodnić, to po co — kończył profesor, wyjmując z ust fałkę.

— Tak! Toistoi, panie profesorze — mówił pan Sodula — chciał kiedyś sprawdzić teorię solipsizmu. Siadał więc sobie na krześle tyłem do wielkiego drzewa, myślał, myślał, gładził sobie siwa broda i zalecenia odwracał się do drzewa, chcąc je przyłapać w momencie chwilowego niebytu. A drzewo było...

— Hm, postaram się to przemysleć... — No i skąd wiemy, panie profesorze, że czegoś nie ma, jeśli tego nie ma? — kończył zawieszając rozmowę pan antykwaryusz Sodula.

Ja w tym czasie układałem dalej książki według alfabetu: Eluard, Engels, Epikur, Erenburg, Profesor Czyżpełka i pan Sodula obniżali głowę nad stołkiem słysząc podniecony i lekko ściszone głos antykwaryusza:

— To jest królowa musichallu, najdłuższe nogi świata Sara Winton, a to, panie profesorze, gwiazda „Olimpiad” Catherine Pipaux, dziewięćdziesiąt jeden w biodrach, a oto największy bursz Cyprianowicz, a tutaj mamy szalę burzmiasta miss White, za którą szalał burzmiistrz Chicago, a oto inna murzynska baby, spojrzenie słodkie jak plaster miodu, osiemdziesiąt dziewięć w biodrach, a oto Clara Patrick, wiecia jak osa, panie profesorze, czterdzieści dziewięć w talli i sto miss Szwecji z czterdziestego siódmego roku, a oto Włoszka Gina Toli z Neapolu, największy seksualny kontynentu, przepasany się i umrzeć, jak mówią o jej rodzinnym mieście...

Profesor Czyżpełka strzyże uszami przestępując z nogi na nogę, ja porządkuję książki według alfabetu: Faulkner, Feuerbach, Flaubert, Fredro. Profesor żegna się z panem antykwaryuszem i wolno, podpierając się laską, skierowuje się do wyjścia, usta jego szepta machinalnie:

— Winton, Pipaux, Dors, White, Patrick, Toli, Winton, Pipaux, White, Patrick...

Pan Sodula ćwiczył się w hipnotyzmie. Zawieszal więc na ścianie zdjęcie Sary Winton, a potem wpatrywał się w nią w bezruchu, nie spuszczywszy powieki przez godzinę. Ale kiedy przychodziła pani Kieka, przewodnicząca kółka emancypantek „Nowa tezza” przy Lidze Kobiet, wzrok jego był o wiele słabszy.

— Dzień dobry, szanowna pani Kieka. — Dzień dobry panu. — Czym może pani służyć, Brantome, Rabelais, Boccaccio, to jest wspaniała lektura dla pań!

Pani Kieka siadała na tym samym fotelu, co profesor, wyjmowała z torbki wachlarz i wachlując się pod nosem mówiła do pana Soduly:

— Chciałabym dla mojego kółka dzieśnięć egzemplarzy „Marty” Elizy Orzeszkowej, dzieśnięć egzemplarzy „Emancypantek” Bolesława Prusa i poemat Maril Konopnickiej „Pan Balcer w Brazylii”.

— Ach, szanowna pani, nie ma, nie ma, a z tym poematem to w ogóle będzie bardzo trudno — mówił antykwaryusz, podchodził do półki i chwiał wszystkie te książki, które pani Kieka właśnie przed chwilą wymieniła.

Ja ustawiałem książki na dolnym regale: Galsworthy, Giraudoux, Goethe, Gogol i w niskiej pozycji sładziłem tok rozmowy.

— Może wstąpi pani do mego pokoiku na lampeczkę wina, niewykłuczone, że w mojej osobistej bibliotece znajdziemy któreś z tych dzieł wiekopomnych — mówił pan Sodula i przeprowadzał panią Kiekę do pomieszczenia obok, w którym mieszkał.

— W związku z emancypacją proponuję pani przeczepienie francuskich obyczajów na naszą glebę — mówił pan Sodula w międrzejszym podlewając wino i w ogólny sposób wtajemniczał panią Kiekę we francuskie obyczaje

seksualne. Ręka jego zataczała w powietrzu kółka i zygzaki, zbliżając się nieustępliwie do kolan pani Kiekiej, która westchnieniem co pewien czas przerywała wykład pana Soduly.

— Ach, emancypacja... ach emancypacja...

Kiedy pan antykwaryusz objaśnił już francuskie obyczaje seksualne, zaczynał omawiać charakter szwedzkiego życia małżeńskiego, a pani Kieka wdychała co chwila:

— Ach, emancypacja... ach emancypacja...

A potem z biblioteczki wyjmował książkę, którą otwierał w zaznaczonym miejscu, siadał obok pani Kiekiej i zaczynał czytać jej na ucho. Pani Kieka przerywała mu jednak co chwila:

— Ach, emancypacja... ach, emancypacja...

Antykwaryusz czytał:

— „...owoż staruszek, siedzący między Pochewką i Kozikiem, ozwał się, aby rzec, co następuje:”

— Ach, emancypacja... ach, emancypacja...

— „I ty, Pochewko, i ty Koziku, dobrzeście czynili szukając odmiany, skoro odmiana była wam przyjemna, ale popamiętajcie błąd przerekając, że się nie odmienicie!”

— Ach, panie Sodula...

— „Koziku, czyż nie wiedziałeś, że Bóg cię stworzył tak, iżbys się nadal dla różnych Pochevek, a ciebie Pochewko, abys mógł wziąć w siebie niejednego Kozika?”

— Ach, niech pan przestanie...

— „Uważajciecie za szalenców niektóre Koziki, które składały ślubny, iż będą w ogóle obchodzić się bez Pochewki, i za szalone niektóre Pochewki, które ślubowały, iż zamkną się dla wszelkiego Kozika!”

— Ach, emancypacja...

— „A nie zastanowiliście się, iż byliście niemal tak samo szaleni, kiedyście przysięgali, ty, Pochewko, iż będziesz się trzymać jednego Kozika?”

— Ach, niech pan zamilknie...

— „Ty, Koziku, że będziesz się trzymać jednej pochewki!”

Cienie sylwetek pana Soduly i pani Kiekiej, jak w chińskim teatrze, zbliżyły się do siebie na zasłonce okna, a z pokoiku za przepierzeniem dochodził stłumiony głos antykwaryusza:

Dzisiaj zatem, nie zwlekając, gdy młodzież

Łsnia na twarzy jak tęże potarne

I kiedy z każdej tkanki duch zionie

laknacy

I rozdmuchuje nagły promień spłatający,

Dozwólmy sobie igrać, jak każe ten

plomien.

Na francuskiej głowa pani Kiekiej, przewodniczącej kółka „Nowa tezza”, odsuwała się od głowy pana Soduly, a usta jej szeptały w odpowiedzi:

— Ach emancypacja... emancypacja...

— Pani przesywa — podnosił się nagle głos antykwaryusza — bądźmy czasem ludźmi.

Pan Sodula podchodził do szafy, zdejmował z niej starannie wyczyszczonego ludzka czaszka, a potem wracał do cienia pani Kiekiej i mówił:

— O! co z nas zostanie.

Pani przesywa ubolewała wtedy bardzo i zaczynała zwierzać się z najskrytszych swoich pragnień:

— Panie Sodula, najbardziej to bym chciała mieć syna, i żeby ten syn został homoseksualista, i żeby nigdy nie meczył żadnej kobiety.

— Pani przesywa — odpowiadał wtedy podstępnie antykwaryusz — to nie takie trudne. Można by spróbować...

Cień pana Soduly zamierał w bezruchu obok cienia pani przewodniczącej, czuć było jednak, że jeden cień wpatruje się w drugi, jakby chciał go przeciwieć oczyma.

Pani Kieka podnosiła się wtedy z otomany, nad którą wisiała „Melancholia” Duerera.

— Muszę uciekać, jest dzisiaj odczyt w moim kole.

— Niech pani wpadnie gdzieś za trzy dni, do tego czasu na pewno już coś wpłynę.

Pan Sodula siedział obok mapy Paryża i w bezruchu wpatrywał się w Dianę Dors, która wisiała przed nim na ścianie. Wzrok jego nie drgnął chyba przez godzinę, a potem pan Sodula obu rękoma złapał się za głowę i mówił do siebie szepcąc:

— Żeby tylko mieć wzrok hipnotyzera...

Potem otworzył szufladę stołu, wyjął z niej wszystkie zdjęcia i ustawił przed sobą na kształt altarką. Kiedy już stały przed nim, wpatrywał się w nie, przechodząc wzrokiem od Clary Patrick do Sary Winton, najdłuższej zaszpatrył na czarne ciało miss White, za którą szalał podobno burmistrz Chicago. I nagle pan Sodula przewrócił wszystkie zdjęcia, pochylili się nad stołem i zasłabł ciekko. Jego trzy ciekły na czarne postadki miss White, ściekały po długich udach Sary Winton, spływały między piersiami Catherine Pipaux i rozpuszczały słodki plaster miodu w oczach pięknej murzynskiej baby... a usta jego szeptały ciagle: „Co jest, jeśli jest, nie będąc...” „Co jest, jeśli jest, nie będąc...”

Na drugi dzień w antykwariacie pokazał się profesor Czyżpełka i od razu odezwał się w te słowa:

— Wiem już, panie Sodula. Jeśli jest będąc, to nie będąc nie ma — powiedział szybko i na znak triumfu zakrzycił w powietrzu laską.

Zza stołu podniósł się wolno antykwaryusz i rzekł ze smutkiem:

— Nie o to chodzi, panie profesorze, nie o to chodzi. Wczoraj właśnie doszedłem do wniosku: w rzeczywistości powstają deformacje. Na skutek deformacji tworzą się wiry, które nas wciągają...

— Hm... — zamyślił się profesor. — Człowiek człowiekowi wilkiem, ale czym wilk dla człowieka? — wykrzyknął nagle pan Sodula i złapał się za głowę. — Ateny, Akropol, złote proporcje ciała, Apollo, Wenus!?

— Czyż istnieje piękno, jeśli światła nie ma? — zapytał wolno profesor. — Już przecież Kartezjusz odkrył, że jeśli mocno obić psa pięć, czy sześć razy przy dźwiękach skrzypiec, gdy znów dźwięk ten usłyszy, na pewno zacznie wyc i uciekać.

Pan Sodula karafkę miodówki wyjął.

— Eh, wypijemy, profesorze.



Fot. Danuta Lomaczewska

MACCHIAVELLI

ERNESTOWI

Jeśli zbyt miękki miecz by głowy ścinać
użyj cykuty i nie gardź sztyłem
lecz praw jak Borgia o miłości bliźnich
żony i dzieci tniź bez uprzedzenia
jeżeli pragniesz uniknąć odwetu
Tak uczy wielkich mężów doświadczenie

I to wiedz Książę że mitem naiwnych
Samarytaninów co dźwięnie z błota
lecz praw jak Borgia o miłości bliźnich
wszak ciebie najpierw wrogi muszą zlamać
aby cokolwiek pojeła hołota
i aby dowieść jak umiataś klamać

Nie zwlekaj Książę dłużej ani chwili
wahanie ujdzie za brak siłnej woli
druh nie pomoże przeciwnik znievoli
i zrobi wszystko ażebyśmy zgnilli
W nawóz historii A że swąd tu trup
Ten który smierdzi był po prostu głupi



Sonet Czy ta wykłnina forma
katedry i pałacu godna
zwykłego kundla ujmie w normę
rodowół bosa często głodny

Nie szukać mu swych atenantów
w polowań gwarze i turniejach
On ledwie bywał wśród psuibratów
Nie chartów wszakże Kur złodziej

A na katedrę ślepiem lypie
sonetu pałac wywnił Forma

Hyclom trza oddać Smutno jest psu

więc szpadę sobie kundel przypnie
lub grzbiet odzieje w worku ornat

Może w blaźnistwie siła plebsu



ale jak zabić niepokoje
by nas przedwzięnie nie pożarzy
Sprawność w tuczeniu wszystkich luster
zdy przystawiają je do twarzy
A czy Przecie pijam w zdroju
Powieki opuść To konieczne
Iuż raczej pustkę niż twarz własną
Irzeć w tym lustrze niezniszczalnym
Wiedz Naigroźniejsze oczy nasze
gdy w siebie zajrzą

Fragment książki, która ukazała się w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa Literackiego.

„TIMES” — LONDYN

Przez łamy prasy brytyjskiej przewinęły się artykuły postulujące uwolnienie z więzienia najgroźniejszego spośród żyjących jeszcze nazistów — Rudolfa Hessa. A przecież autorzy tych elaboratów i im podobni, którzy włączyli się niedawno do tej kampanii, zominają o jednej ważnej okoliczności: gdyby Hess wyszedł na wolność, stałby się źródłem „natchnienia” dla odradzającego się ruchu faszystowskiego. Z opublikowanej nie tak dawno książki pika U. Byrda „Najbardziej samotny człowiek na świecie” wynika jasno, że Hess wciąż jeszcze jest przekonany o słuszności swoich czynów i zachowuje niezmienioną wiarę w hitlerizm, antysemityzm i nienawiść do ludzi. Z filmu pokazanego niedawno w telewizji brytyjskiej również wynika, że Hess czuje się doskonale i wcale nie wygląda na „seborwanego staruszka”. Autor książki znalazł go przy całkiem zdrowych zmysłach. Jeśli dodać do tego jeszcze jeden fakt — że dom Hessa, przekształcony przez jego żonę Ilzę w „świątynię”, odwiedza ją tłumnie naziści, przyjeżdżający tu ze wszystkich stron świata, to przed oczami ludzi, którzy przeżyli koszmar hitlerowskiej okupacji jawi się ponury i wyrazisty obraz. Uwolnienie z więzienia tego nazistowskiego prominenta zostałoby pożyteczne dla zwycięstwa neofaszystów, którzy rzucili bombę w Bresli i organizowali zbrodnicze zamachy w innych miastach Włoch. „Natchneloby” ono także do nowych akcji chuliganów, którzy po „odświeżeniu” rocznicy urodzin Hitlera wdarli się na żydowski cmentarz w Londynie i sprofanowali „szeszedziesiąt grobów”. Wkrótce po uwolnieniu Hess zechciałby z pewnością wydać wspomnienia (być może nowe „Mein Kampf”) i nie mógłby się opędzić od propozycji opublikowania wspomnień w wielonakładowych dziennikach, i to za solidne pieniądze. Można sobie wyobrazić, że Hess udzielałby wywiadów BBC, jak to swego czasu robił Albert Speer. Hess nie tylko był czystym nazistą. Hess jest nim i dziś. Nie starczy miejsca, by wymienić wszystkie niedłuzkie zarządzenia, które podpisał Hess i wszystkie mowy stawiane Hitlera, które wygłosił do 1941 roku, to jest do chwili startu na Wyspy Brytyjskie. Trzeba jednak przypomnieć, jak to Hess zalecał powiększenie ilości dywizji SS w Polsce, które, jak powiedział, „dzięki dobremu przygotowaniu w zakresie problemów rasowych można uważać za najbardziej przydatne do wykorzystania na wschodnich terenach okupowanych”. Wiemy dziś, co to oznaczało. W okólniku ministra sprawiedliwości III Rzeszy z dnia 17 kwietnia 1941 roku, dotyczącym specjalnych zarządzeń karnych na tychże wschodnich terenach okupowanych, mówi się: „Propozycje zastępcy Führera (Hessa) zostały wzięte pod uwagę w najszerszym planie... W przyszłości każdy Polak czy Żyd na terytoriach wschodnich może być poddany represjom i każdej karze za postępowanie lub działanie, które uzna się za karalne... Zgodnie z mniemaniem zastępcy Führera stwierdziliśmy, że Polacy odzwyczajają mniejszy strach przed zwykłym więzieniem niż inne narody... W myśl nowych zarządzeń karnych więźniowie będą rozmieszczeni poza więzieniami, w obozach koncentracyjnych, i będą tam wykonywać prace najbardziej trudne i najbardziej ciężkie...”

W taki oto sposób Rudolf Hess otworzył wrota Oświęcimia, Treblinki, Majdanka i innych obozów śmierci.

„ASSOCIATED PRESS” — NOWY JORK

Sprzedając samochody Kubie, a miasto Związkowi Radzieckiemu Argentyna nawiązuje bezpośrednie stosunki handlowe z krajami socjalistycznymi. Kampania zmierzająca do rozszerzenia handlu ze Wschodem i Zachodem kieruje minister handlu Argentyny, Jose Helbart. Niedawno odwiedził on w Budapeszcie, że polityka jego kraju jest polityką współpracy ze wszystkimi krajami bez wyjątku. W Warszawie zawarł on porozumienie o stworzeniu wspólnej korporacji przetworów rybnych, przy czym w przeciągu sześciu lat połów ryb zwiększy się trzykrotnie, siejąc 150 tysięcy ton. Kilka dni później podpisał w Pradze protokół o stworzeniu mieszczącego argentyńską i czeskosłowackie spółki do budowy w Argentynie fabryki turbin wodnych. Argentyna otrzymała także od Czechosłowacji kredyt na zakup gotowych turbin do budowy nowych elektrowni. Ponadto minister handlu Argentyny otrzymał zapewnienie, że Czechosłowacja będzie kupować w Argentynie mięso, wino, ryż, skórę, sok owocowy i inne towary. W finansowych kołach Argentyny ocenia się te nowe umowy jako ważne osiągnięcie polityczne i dyplomatyczne.

„FRANCE PRESSE” — PARYŻ

Opasy, kiedy Australijczycy uważali Anglię za uosobienie potęgi i wzniosłości, a mieszkańcy Wysp Brytyjskich mogli odwiedzać Australię nie pytając tamtejszych władz o zezwolenie, należą już do przeszłości. Wprawdzie i teraz Anglikom, w odróżnieniu od obywateli brytyjskich nieuropejskiego pochodzenia, wolno przyjeżdżać do Australii nie mając przy sobie żadnych dokumentów oprócz paszportu. Jednakże już wkrótce wszyscy obywatele Wielkiej Brytanii, w jakiej by części świata nie mieszkali, będą musieli — udając się na szósty kontynent — otrzymać australijskie wizy. Powiadomił o tym dziennikarzy premier Australii. Obecnie istniejący system wjazdu do kraju szef rządu australijskiego nazwał dyskryminacyjnym. (c)

Sajgon — zwany niegdyś „Perłą Azji” — jest dziś porzucony w ekonomicznym chaosie i zapadł w sen letargiczny. W pustych kawiarniach wentylatory cierpliwie mieszają lepkie, nagrzane powietrze, zniknęły z ulic mundury sojuszników, kierowcy taksówek i ich koledzy z rikszy rowerowych, zmożeni słonecznym żarem i daremnym oczekiwaniem na pasażerów, grają na trotuarach w karty lub po prostu drzemają w cieniu, właściciele sklepów, hoteli i restauracji na próżno wypatrują klientów.

Centrum handlowemu i „arystokratycznym” dzielnicom miasta reżim stara się nadać pozory dobrobytu. Ale upiększona fasada nie jest w stanie ukryć nędzy. W styczniu ub. roku miejscowy piatr był aż dziewięćdziesięciokrotnie dewaluowany. Rząd sajski utrzymuje pod bronią ponad milion żołnierzy, nie licząc 500 tysięcy młodych ludzi wcielonych do tzw. samoobrony obywatelskiej. Utrzymanie tak licznej armii niesłychanie obciąża budżet państwa. O korupcji można mówić w kategorii wymiarów kosmicznych.

W ciągu sześciu miesięcy tego roku koszty utrzymania wzrosły o 40 procent, ceny wzrosły dwukrotnie, a niektóre towary kosztują nawet trzykrotnie drożej. Od stycznia 1974 roku cena benzyny podrożała o 300 procent. Amerykańskie bazy opustoszały. Niektóre z nich zajęły wojska południowowietnamskie, inne rozgrabiono do szczeru; wyglądają jak pola po nalocie szarańczy. Bazy, rozrzucone po całym kraju, zatrudniały minimum 100 tysięcy południowietnamskich w charakterze robotników, kierowców samochodowych, sprzątaczek, kucharzy itp. Teraz powiększyli oni, i tak już ogromną, armię bezrobotnych. Mimo to nie wzdychają do swego wczorajszego „wielkiego sojusznika”.

Złe sytuowane warstwy społeczeństwa są szczególnie dotknięte kryzysem. Uciekane, pozostające pod niestanną kontrolą władz, dźwigają wszystkie ciężary związane z eskalacją kosztów utrzymania, mając tylko jedno wyjście — coraz mocniej zaciskać pasa. Rośnie ilość kradzieży i napadów, wzrasta liczba studentów i wojskowych — narkomanów; w kraju jest ich już ponad 150 tysięcy. Na pierwszy rzut oka można by sądzić, iż rząd „jest zanepokojony” tym zjawiskiem i nawet publicznie mówi o niebezpieczeństwie tej nowej klęski społecznej, ogarniającej kraj. A przecież nie podejmuje żadnych konkretnych kroków zaradczych i do

Poludniowego Wietnamu przemycia się co miesiąc około dwóch ton narkotyków, które przynoszą ogromne zyski podziemnym syndykatom handlu narkotykami. Teoretycznie za handel narkotykami grozi kara śmierci, ale praktycznie handlarze tą trucizną dysponują takimi środkami i mają tak potężnych protektorów w kołach rządzących, że nie muszą się martwić o swoje głowy.

Wszędzie panuje tu niepokój i troska o dzień jutrzejszy, co powoduje ogólne rozdrażnienie i agresywność. Właściciele sklepów, kantorów wymiary, taksówkarze, riksziarze, żebracy i dziewczęta z barów dosłownie

niesłychany zamęt panujący w urzędach państwowych, żeby ciągnąć z tego niemałe zyski.

Tego roku zamknięto wiele przedsiębiorstw produkcyjnych, robotników zwolniono. Szeregi bezrobotnych rosą i dziś około dwóch trzecich mieszkańców Sajgonu, to jest ponad półtora miliona osób, zarabia dosłownie grosze. Siła nabywcza pątra, wskutek dewaluacji, spada w ciągu roku o trzydzieści procent. Związanie kucy z końcem jest prawdziwym cudem.

Klientami wspaniałych magazynów i restauracji, drogich kin i barów są tylko ludzie zamożni. Posiadają wil-

ne dzieci — trzech synów i trzy córki. Wkrótce po rozpoczęciu działań wojennych młodsza córka została prostytutką. Za jej przykładem przyszły obie starsze, zamężne siostry. Wyniosły się z mieszkania, żeby móc „przyjmować” klientów, kupiły zwolnienia ze służby wojskowej swoim mężom i braciom. Kiedy cała rodzina, wraz z przyjaciółmi, zasiadała do gry w karty lub tradycyjnego ma-dżonga siostry wychodziły „do pracy”. W rodzinach następuje rozkład.

Okolo miliona przesiedleńców z okresu wojny skupiło się w obozach leżących w pobliżu miasta. Administracja Thieu niejednokrotnie składała obietnice polepszenia ich sytuacji, ale do dziś dnia sprawa nie wyszła poza sferę słów i obietnic. Przesiedleńcy nadal przepełniają obozy w Danang, Pleiku, Kun-nion, w okolicach Sajgonu.

„Gdyby miał wybór, wielu z nich powróciłoby do swoich wsi, znajdujących się w strefach kontroli Narodowego Frontu Wyzwolenia Republiki Poludniowego Wietnamu” — przyznał otwarcie pracownik jednego z obozów.

Spośród przesiedleńców, z których wielu od 1954 roku ganiano z miejsca na miejsce po trzy, a nieraz i cztery razy, najczęściej los spotkał dziesiątki tysięcy mieszkańców gór, skąd wysiedlano ich siłą. Do 1971 roku operacje „pacyfikacyjne” umożliwiały reżimowi sajskiemu utrzymanie mieszkańców gór pod kontrolą, przekształcając jednocześnie rejon graniczący z Kambodżą i Laossem w „strefy nieskrepowanego ognia”. Miały one być barierą zagradzającą drogę „komunizmowi”.

Z dala od lasów i rodzinnych wsi, ci mężczyźni stopniowo wymierają. Nie mogą się adaptować w krainie dolin. „Ich położenie — pisze amerykański etnograf, Jerry Hickey — można porównywać z położeniem północnoamerykańskich Indian, degenerujących się za burzą cywilizacją”. Ci, którzy wykorzystują ich ufnosć, ich nędzę i słabość, opływają w dostatkach.

Sytuacja, jaka wytworzyła się w Sajgonie, w żaden sposób nie potwierdza „prognozy” pewnego znanego zachodniego specjalisty, studiującego zagadnienia „uspokojenia”. Zabłysnął on swymi wywodami w styczniu 1973 roku: „Sajgon utrzyma przynajmniej większość ludności po swojej stronie... Ludzie mają dość wojny. Z nastaniem pokoju pozostaną po stronie tego, kto zaproponuje im lepsze warunki życia, domy, szkoły, drogi, pracę i wszystko inne. Vietcong jest bardzo biedny i nie będzie mógł przyjąć tego wyzwania. Jestem o tym przekonany”.

Dziś, kiedy w Poludniowym Wietnamie panuje nędza, owo „wyzwanie” brzmi wręcz tragicznie. Tym bardziej że w rejonach będących pod administracją Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Republiki Poludniowego Wietnamu z ogromną energią dokonuje się demokratycznych przeobrażeń i dąży do polepszenia warunków życiowych ludności, stwarzając jej możliwości do pokojowej, twórczej pracy.

JERZY CZECH

SAJGON-MIASTO STAGNACJI I NĘDZY

atakują przyjezdnych na ulicach miasta, wrogo reagując na odmowę. „Biją mnie za każdym razem, jeżeli wracam do domu bez pieniędzy” — powiedział korespondentowi „Le Monde Diplomatique” mały chłopiec. Handlarzom tradycyjną wietnamską zupą i słodyczami nie starcza utargu na płacenie łapówek i okupów za kwadratowy metr miejsca na trotuarze. Mieszkańcy Sajgonu nie chodzą już z dziećmi na lody, skończyły się świąteczne wizyty u krewnych i znajomych. Nawet takie drobne przyjemności stały się dla wielu ludzi niedostępne.

Żeby otrzymać jakikolwiek oficjalny dokument lub uzyskać pieczęć na piśmie, petenci urzędów administracyjnych stolicy muszą całymi dniami objąć progi przeróżnych biur. Kogo nie stać na to, by znaleźć i opokować drogę w administracyjnych labiryncach, niezawodnie zgine w syrkich piaskach kancelaryjnej mitręgi. „Sześć jest na konferencji...”, „Podpisuje pisma tylko od 17 do 17.30...”, „Ja nie wiem... To nie moja sprawa...” W każdym razie jutro... Niech pan wstąpi jeszcze raz...” Dziesiątki tysięcy cywilnych i wojskowych urzędników troszczą się wyłącznie o to, żeby kultura biurokracji dominował nad wszystkim.

Występując w telewizji, dyrektor stołecznego urzędu podatkowego zapewnił: „Każdy obywatel może załatwić każdą swoją sprawę w ciągu czterech godzin”. Ale korespondent jednego z tygodników zachodnich rozmawiał w urzędzie podatkowym z pewną właścicielką sklepu w Sajgonie, która była tu aż siedem razy, żeby... zapłacić podatek! Kombinatorzy wszelkiej maści łatwo wykorzystują

le, samochody i służbę, spędzają przyjemnie czas nad brzegiem morza. Urzędnicy na wysokich stanowiskach, wojskowi wyższych stopni, przemysłowcy, handlowcy i bankierzy, zachodni macherzy i dyplomaci żyją tu w luksusie, nie znając trosk. Bogaci nie tracą ani centyma z powodu „poukładanych” w celu uporządkowania gospodarki, które w pierwszej kolejności biją w biednych.

W Sajgonie i w innych dużych miastach Poludniowego Wietnamu biedota rekrutuje się głównie z ludzi, którzy uciekając przed wojną, woleli się schronić w miastach, odstawiając osiedlenia się w specjalnych obozach. Ludzie ci stracili wszystko i teraz nie mają możliwości ani powrotu do swoich domostw, ani zabezpieczenia sobie egzystencji. Są skazani na vegetację w najgorszych warunkach na peryferiach miast. Tak jest na przykład na przedmieściu Hoang-dao, tuż obok wielkiej bazy lotniczej w Sajgonie.

Socjolog Wu-An tak opisuje tę peryferię: „Hoang-dao słynie jest dziś z chuliganów, prostytutek, nędzy i moralnego upadlenia. W latach 1964—1965, w okresie eskalacji nabołów powietrznych napłynęły tu tłumy uciekinierów z prowincji. Spowodowało to nieprawdopodobne zagęszczenie ludności, nędzę i degradację społeczną. Przyjście Amerykanów przyciągnęło do Hoang-dao aferzystów, prostytutki i spekulantów”.

Wu-An przytoczył jako przykład dzieje rodziny swoich sąsiadów. W 1965 roku nie różniła się ona niczym od innych wietnamskich rodzin. Ojciec pracował w garażu, matka handlowała na rynku. Byli pracującymi i uczciwymi ludźmi, mieli „normal-

nie” rozbrojeniowych na sesji dominować będą problemy ekonomiczne. Państwa tzw. trzeciego świata, najbardziej dotknięte różnymi kryzysami i chaosem rynkowym, domagają się opracowania nowej struktury stosunków ekonomicznych. Gorącymi punktami dyskusji mogą być także: Bliski Wschód i Cypr. Bliski Wschód, ponieważ kraje arabskie wprowadziły do porządku dziennego sprawę Palestyny, zamierzając uzyskać międzynarodowe uznanie dla palestyńskiej organizacji wyzwoleńczej, Cypr — z powodu wciąż nie uregulowanej sytuacji i braku gwarancji jego suwerenności.

Przemawiając na sesji min. A. Gromyko prócz wyżej wymienionych za pierwszoplanowe zadania, na jakich powinny skoncentrować się wysiłki państw, uznał także: zakończenie w niedługim czasie Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, która powinna być uwierczone uchwalami, przyjętymi na najwyższym szczeblu, doprowadzenie do konkretnych porozumień w radziecko-amerykańskich rozmowach SALT oraz wielostronnej dyskusji na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej, a także bezwzględne wznowienie prac konferencji genewskiej ds Bliskiego Wschodu w celu rozwiązania problemów tego rejonu i ustanowienia trwałego pokoju.

„Główny kierunek rozwoju — mówił min. Gromyko — nie budzi wątpliwości: dominuje dziś odprężenie i dążenie do niego”.

Aby jednak rozproszyć wątpliwość, że odprężenie jest zjawiskiem chwilowym państwa świata powinny nie osłabiać wysiłków, zmierzających do tego, aby zdrowe procesy

umocniły się i stały się nieodwracalne.

Pisałiśmy dotychczas o zagadnieniach ogólniejszych, a tymczasem w minionym tygodniu w RFN wydarzyło się coś, co wymaga kilkanaście słów komentarza. Rząd bolski odrzucił decyzję ministrów rolnictwa EWG i tuż przed datą wprowadzenia w życie tego postanowienia nie zgodził się na podwyżkę cen skupu płodów rolnych. Jej wprowadzeniem zainteresowane były przede wszystkim Francja i Belgia, gdzie rolnicy twierdzą, iż stali się głównymi ofiarami inflacji.

Odmowa realizacji wspólnego postanowienia dopóki rządy nie cofną różnych innych form pomocy dla rolników jest w EWG wydarzeniem bez precedensu i stała się sensacją tygodnia. Również dlatego, że godzi osłabić w prez. Giscard d'Estainga, który obiecał francuskim rolnikom ekwiwalent za zmniejszenie dochodów. Wszyscy komentatorzy uznają decyzję rządu RFN za pewien zwrot w stosunkach z Francją i ostre spięcie na linii Bonn — Paryż.

Z innych wydarzeń tygodnia odnotujemy jeszcze legalizację Komunistycznej Partii Grecji. Przeprowadzono ją 27 lutego. Mimo to była ona zawsze w pierwszym szeregu ruchu oporu przeciwko dyktaturze i cieszy się w kraju dużym autorytetem. Postanowienie o legalizacji utwierdza nas w przekonaniu, że Grecja jest na drodze interesujących przemian.

W. ŚLAWSKI

× GDY ODPREŻENIE STAJE SIĘ TENDENCJĄ ŚWIATOWĄ
× FORUM MIĘDZYNARODOWE OBRADUJE W NOWYM JORKU

Do rangi wydarzenia uznanego przez publicystów za wielkiej wagi kwalifikuje się zbliżająca się wizyta Edwarda Gierka w Stanach Zjednoczonych. I to nie tylko z uwagi na stosunki bilateralne: polsko-amerykańskie, lecz również trwający proces odprężenia w świecie. Polska ma bowiem w nim swój niemały udział. Nasze inicjatywy międzynarodowe, wspieranie zawsze i wszędzie idei pokojowego współistnienia, rozszerzanie kontaktów z krajami o odmiennych ustrojach — wszystko to składa się na autorytet naszego kraju w świecie. Jego źródła są jednak głębsze, wynikają z naszych sojuszy i miejsca Polski we wspólnotach krajów socjalistycznych. Dialog, jaki w Waszyngtonie podjęty zostanie przez Edwarda Gierka i Geralda Forda, będzie więc służył pokojowi i współpracy międzynarodowej, które za sprawą Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych stają się tendencją światową.

Za kilka dni nasz zachodni sąsiad — Niemiecka Republika Demokratyczna obchodzić będzie swoje 25-lecie. Lepiej niż na jakimkolwiek innym przykładzie, na dziejach NRD można prześledzić drogę, jaką przebył świat w okresie po II wojnie. Kiedy powstawała NRD toczyła się

zimna wojna, a koła imperialistyczne gotowały się do militarnej konfrontacji ze Wschodem. Dziś w języku politycznym przeważają słowa: współistnienie i odprężenie. Wtedy NRD uznawana była tylko przez kraje socjalistyczne, obecnie ma już stosunki dyplomatyczne ze 111 państwami. Jest członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych. Mamy niewątpliwie powody, aby to zwycięstwo realizmu w polityce mocarstw zachodnich zapisać na swoim koncie. Kraje socjalistyczne bowiem konsekwentnie wykazywały, że tylko uwzględnianie politycznych realiów świata może stanowić płaszczyznę rozmów, ustaleń i rozwiązań nabrzmiałych problemów, a także stworzyć podstawę do międzynarodowej współpracy. Realizm ułował drogę zwrotowi w stosunkach radziecko-amerykańskich i dziś umożliwia polsko-amerykański dialog na najwyższym szczeblu.

W czasie, gdy I sekretarz KC PZPR składać będzie wizytę w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Jorku toczy się będą nadal obrady XXIX sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Bierze w nich udział już 138 państw, gdyż nowymi członkami zostały: Bangladesz, Granada oraz Gwinea Bissau. Porządek dzienny obejmuje ponad 110 punktów. Prócz zagad-

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

W trudnych chwilach, które zdarzają się każdemu, sięgam zawsze po lekturę przywracającą równowagę. Nie jest to ani literatura rozrywkowa, ani teksty wielkich filozofów. Są to dzienniki, wspomnienia listy.

Przeglądając się jak w lustrze w małych, a nieraz małosłownych sprawach ludzi wielkich, człowiek nagle uświadamia sobie tożsamość człowieczych losów, klęsk i przerażeń. Raptownie moje klęski stają się mniej bolesne, moje zakrety mniej niebezpieczne, moje przerażenia mniej uzasadnione.

Oto ogromna postać polskiej literatury współczesnej — pisarz uhonorowany we wszelki możliwy sposób, nazwisko z podręczników literatury. I zaraz przypływa ten obraz kreślony dłonią innego wybitnego pisarza:

...w fazie powracania do zdrowia często płakał. Czemu? Wspominał doznane w życiu krzywdy. Ten kół, ten niedźwiedz z goryczą liżący łapę jakże mnie wzruszył. Cóż, doznajemy porażeń, my literaci, różnych. Nie wszystkie wiążą się z literaturą. Ale tych literackich bywa dużo.

DROBIAZGI

Nieważne, o kogo tu chodzi, nie piszę plotki lecz refleksję. Ale ten obraz wzruszył mnie także, te trzy właściwie niemieckie dokumentują prawo do leż.

Albo inny obraz, tym razem już z nazwiskiem. Laureat Nagrody Nobla z roku 1939, Salvatore Quasimodo, zmarły przed sześciu laty. A więc już nazwisko ze światowego Par-nasu. I oto czytamy w jakimś wspomnieniu:

...bywało mu żenująco ciężko. Sąd ten pokoił sublokatorski, do którego nie chciał mnie wprowadzić, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy — pisał autor memuarów. Zyl głównie z poezji. Nie przyjmował żadnych posad. O synekury nie umiał się starać.

Skromny, starszy pan, mieszkający katem, zdziwiony, że dostał Nagrodę Nobla. Salvatore Quasimodo — postać z podręczników literatury.

A dalej odnajduję w opasłym tomie ów list z roku 1901 napisany przez Leopolda Staffa do Maryli Wolskiej:

„Kasprowiec potrzebowałby pieniędzy. Ma jeszcze z owych 60 złr, z którymi wyjechał z Lwowa, 40 lirów. Wystarczy to na kilka dni tylko...”

I zaraz ten drugi list Staffa z roku 1903 do Maryli Wolskiej: „odważam się na krok proszenia pożyczki 200 guldenów”, na który Wolska odpowiada:

„Posyłam Panu trzysta koron, cały zapas moich osobistych lirycznych pieniędzy, proszę przy odbiorze kwit prozą (...) Dziwi mnie tylko równoczesny projekt podróży Pana do Anglii, o którym nie dawniej jak wczoraj Katz mi opowiadał. Czy nie od tej sumy zależy wykonanie projektu? (...) Wszystko jednc zresztą. Za kilkaset doczesnych koron pożyczki nie nabywa się jeszcze prawa zadawania drażliwych pytań”.

Kopia tego listu zachowała się w zbiorach rodziny Pawlikowskich. Na stronie trzeciej przyklejony kwit na 300 koron oraz dopisek: „Nie zwrócono wcale. 9. II. 1925. Maryla Wolska”.

Czemu o tym piszę? Nie ujawniam zresztą archiwów, lecz przepisuję z ksiąg wydanych w Polsce w nakładzie wielu tysięcy egzemplarzy. Ale czemu piszę? Żeby pomniejszyć Staffa i liryczną poetkę? Na pewno nie. Piszę dlatego,

aby ich uczłowieczyć. Abyśmy myśleli o nich — i nie o nich tylko — jak o zwyczajnych ludziach, uwikłanych w swoje słabości, małości i cienie. Bo przecież byli i zostali wielcy nie poprzez swoje małości lecz na przekór nim. I to jest wzruszające, piękne i — optymistyczne.

Albo ten głuchy starzec, który zapoczątkował na świecie erę kosmiczną. Konstanty Ciolkowski w dalekiej Kaluzie, żeby słyszeć rozmówcę, stawiał przed sobą blaszaną rurę długości prawie półtora metra. Wylot rury doprowadzał do ust mówiącego. Tragiczny paradoks — pionier kosmonautyki i kallectwo, któremu wówczas mógł przeciwstawić tylko blaszaną rurę. Wielkość i nieporadność. Ogrom umysłu i prymityw.

I tak to się wszystko spleta i tak wynikają z listów, wspomnień, dzienników te drobne, a jakże znaczące fakty, czy może tylko fakielki. Ale z nich — z tego placu w chwili słabości, z tego ubóstwa, z tych małości — wynika jakaś całość. Nie spiszowa — jakże bardzo człowiecza.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM
OKIEM

JAK LIKWIDOWAĆ?

Czasem zdarza się nam szukać jakiegoś bardzo potrzebnego w danej chwili przedmiotu, który musi tu gdzieś być, który przecież niedawno mieliśmy w ręku, sam wtedy pchał się w oczy, lrytował swoją długotrwałą zubożnością. Przewracamy szuflady, szafy, schowki. Decydujemy się zająrzeć nawet do pudła, które stoi na pawlaczu od paru lat i nigdy nie chciało nam się sięgać aż tam. Znajdujemy w pudle tuzin krawatów, których już nigdy nie włożymy, jakiś szalik, rekawice i elektryczną golarkę. Po co to jeszcze leży? Zlikwidować jak najprędzej!

W ogóle odkrywamy przy takiej okazji, że nasze mieszkanie nazbyt się już nie wiadomo kiedy zagraciło. Więc generalny przegląd pod hasłem: pozbyć się niepotrzebnych rzeczy, rozluźnić dom, odmłodzić go i odnowić. Stos rzeczy do pozbycia różnie, staje się nowym meblem w wolnym do niedawna kącie przedpokojku. Niemalą część tego stosu stanowią książki, wśród których często przeprowadzamy czystkę i ciągle ich dziwnym sposobem przybywa. Ale oprócz książek jest też sporo garderoby, trochę obuwia, jakieś mechanizmy, jest też kwiatnik na wysoki polysk, lampa stojąca na kółkach i dwa metalowe półmiski z wyloczonymi scenami z życia wiejskiego.

Potem mijają tygodnie i nie ma kiedy zająć się likwidacją stosu. Niektóre drobiazgi wracają cichaczem i lokują się znów po różnych pudłach i zakamarkach: to przecież jeszcze całkiem dobre, nad tym się zastanowić, z tego jeszcze coś się zrobi. Wracają na nowych parę lat leżenia. A co z resztą?

Przecież nie złożę tego wszystkiego na podwórzu. Bywam czasem na naszych łódzkich „ciuchach”, na placu, gdzie obok psów, kanarków, złotych rybek i poczołówek dźwiękowych handluje się starzyzną. Nie mogę sobie wyobrazić, dla kogo są przeznaczone te sterty ohydnych, brudnych, rozdeptanych i podartych kapci, te szmaty, kawałki starych firanek, zajeżdżone na śmierć niemowlęce wózki. Kto to wszystko kupuje? A u mnie w domu tyle rzeczy o ileż lepszych, w pełni użytkowych, sprawnych — i ciągle nie wiem, co z nimi zrobić? Likwidowałem kiedyś biurko, bo było za duże. Nikt nie chciał go wziąć za darmo, mimo, że to, przy czym siedziemy w moim biurze i w tysiącach innych biur, byłoby zupełnie smieciem wobec mojego mebla. Książki, których nie mam wrogę sumienia zostawić pod płotem — są przecież sumą tak wielkiej pracy tyłu mózgow, czy naprawdę nie są warte? Ciężko to mi uwierzyć bibliofilowi, ale niech tam, wyniosę. Czy kwiatnik też mam wynieść i postawić przy śmietniku? Do rana będzie z niego rupieć, okleina podłazi, polysk zniknie. A przecież jest lepszy i ładniejszy od tysięcy sprzedawanych bieżąco w „salonach” meblowych, za ciężkie pieniądze. Czy mam jeździć pięć razy do jednego w Łodzi komisju meblową i dopraszać się — ech, to na nie, to dla nich za mały interes, nie oplaci się. Co zrobić z kilkoma swetrami, z niemodnym garniturem, z wysłużonym, a wciąż jeszcze działającym „Pionierem”?

Jaki to zamierzeli czas, kiedy po warszawskich podwórkach chodzili Żydzi w chatach, wrzeszczący: „stare gardorobe, stare kapcie, stare porcelane kupuje — handel, handel!” Ich przedsiębiorstwem był worek na plecach. Oni utrzymywali całe rodziny, a jednocześnie upłyniali racjonalnie remanenty, zbędne w skali gospodarstwa domowego. Im się to jakoś opłaciło. Teraz nikomu nie się nie oplaca, a gospodarka materiałowa prosi się o usprawnienie w każdej skali! Przecież to partykularne przykłady krawatów, pudła na pawlaczu, zbędnych sweterków, trudności z ich „upłynieniem” — powtarzają się odpowiednio na szczeblu warsztatu, zakładu, kombinatu — hurtowni — tam też co jakiś czas robi się czystkę, wybiera rzeczy do likwidacji, oddziela je w osobnym pomieszczeniu w osobnej ewidencji, potem tak oddzielone leżą, bo nie wiadomo co dalej — a lata leca, a dokumentacja puchnie i magazyny pekają w szwach, ich zawartość idzie w miliard złotych! I co? Wziąć to wszystko i utożyć koto śmietnika? Podpaść?

W mojej sieni wiszą ogłoszenia o spotkaniu z radnym w roku 1970, o szczepleniu psów i o obowiązkach lokatorów. Chciałbym znaleźć tam jeszcze taki plakatik: „Przedsiębiorstwo skupu przedmiotów używanych, szmat, makulatury i złomu odwieża ten dom w trzecim dniu każdego miesiąca. Wyceniamy na miejscu, zabieramy natychmiast, płacimy gotówką. Korzystajcie z naszych usług!”

No i żeby nie skończyło się na ogłoszeniu. Żeby te zapowiadane wizyty naprawdę systematycznie się zdarzały i żeby... Cóż, marzyć nie wolno?

STYL I CZŁOWIEK

Dawniej to było dobrze. W czasach, kiedy żył Stanczyk wszyscy znali się tylko na medycynie. Dziś wszyscy znają się na wszystkim, albo prawie na wszystkim. A więc wszyscy znają się na gospodarce, na kulturze, na wychowaniu, na filmie, telewizji, prasie i pro-

tujez i tu. Wiedź, że każda rodzina jak twoja i każdy pragnie mieć zapewniony spokój dla odpoczynku czystym, upożątkowanym i bezpiecznym. Do ciebie więc, jako do podstawowej jednostki Dzi-

też zastanawiają się nad skutecznością takiego postępowania. Podstawowym pytaniem, jakie zadaje sobie każdy propagandysta jest pytanie o adres: do kogo chcę mówić i jaki sposób okaże się tu najbardziej skuteczny? Dlatego też nawet najgorszy propagandysta, ale posiadający pewną dozę wiedzy o przedmiocie, nie popełni tego, co urzędnikowi wydaje się normalne.

Był w planie pracy punkt nakazujący wydanie ulotki i rozwieszenie jej w korytarzach budynków podległych MZBM Łódź Śródmieście? — zapyta siebie urzędnik. — Był! — odpowie też sam sobie. — Ulotka napisana? — Napisana! — No to plan w tym punkcie wykonany i można przystąpić do dalszej pracy. I przystępuje, co z chwałą wychodzi dla planu, ale skutków społecznych nie przynosi żadnych, albo — co gorsze — ujemne. Dla urzędnika obojętna jest na przykład istota pojęcia — cywilizacja. Pisze więc:

„MIESZKANCU! Przyjmij maksymę, że ochrona środowiska jest obowiązkiem postępowej cywilizacji!”

A przecież wystarczy zażreć do „Słownika Wyrazów Obcych”, aby przekonać się, że cywilizacja jest pojęciem natu-

pagandzie. Szczególnie na propagandzie wszyscy znają się bardzo dobrze. I wszyscy, albo prawie wszyscy propagandę starają się uprawiać. Nawet MZBM Łódź-Śródmieście, choć statutowo powołany jest nie do uprawiania propagandy, ale do zarządzania budynkami miejskimi, jak to sama nazwa wskazuje.

Zarządzanie jest oczywiście zajęciem bardzo trudnym. Co innego propaganda. Znają się przecież na niej wszyscy, a poza tym można tu uprawiać różne style, różne metody stosować, do różnych form się uciekać. Uznano więc w MZBM Łódź-Śródmieście, że znaczną pomocą w zarządzaniu będzie propaganda i... wydano odezwe do mieszkańców łódzkiej dzielnicy Śródmieście.

Niedawno KTT spostrzegł i podzielił się tym spostrzeżeniem na lamach „Kultury”, że u nas stosuje się różne style myślenia, czasem jest to styl wojskowy, odwołujący się do apeli, wzywający do walki, mobilizujący, a czasem styl sportowy, pleniący się u nas szczególnie bujnie po mistrzostwach świata w pilce nożnej. Widać w MZBM Łódź-Śródmieście doszli do wniosku, że skoro nasza jedenastka narodowa wygrała w Monachium dzięki różnym hasłom i listom, jakie stali do niej rodacy, wzywając do wzmożenia wysiłku, to oni — MZBM z łódzkiego Śródmieścia — też zastosują ten chwyt propagandowy i odniosą niebawem sukces. I zastosowali.

Oto w kłatkach schodowych niektórych domów Śródmieścia Łódź ukazały się plakaty z następującym wezwaniem:

„MIESZKANCU DZIELNICY ŚRÓDMIEŚCIE Najemco

Środowisko, w którym żyjesz i warunki, które cię otaczają kształtują i ty.”

Myśl jest niezwykle głęboka i można byloby napisać całą rozprawę krytyczno-naukową

proszę linotypistę i korektę o pozostawienie pisowni słowa „uporządkowany” jak było w poprzednim zdaniu, gdyż jest to pisownia oryginalna. Zdaniem specjalistów od propagandy z MZBM Łódź-Śródmieście również słowo „popęszenie” pisze się przez „rz”. Piszą oni: „Najemco (...) Pamiętaj, że bardzo pokazuje środki pieniężne wydatkowane na likwidację skutków ludzkiej bezmyślności i wandalizmu mogłoby być wykorzystane na polepszenie warunków mieszkalnych setkom rodzin”.

Oj, „bardzo pokazuje”, ale widać samo „wydatkowanie środków pieniężnych” nie wystarczy, aby skutecznie można było zlikwidować „ludzką bezmyślność”. Nie śmieje się z błędów ortograficznych, bo każdemu coś takiego może się zdarzyć, choć w druku nie powinno, zwyższy na liczne bariery korektorskie, ale to inna sprawa. Śmieje się z metody, ze sposobu i stylu. Oburza mnie natomiast marnotrawstwo. Znam styl i sposób działania brygad remontowych MZBM, wiem coś niecoś o wyposażeniu tych brygad w narzędzia i materiały, i jeśli już MZBM dysponuje „bardzo pokazywnymi środkami pieniężnymi” to mogłoby je „wydatkować” raczej na inne cele niż na żle pojętą propagandę. I to już nie ze względów formalnych, nie tylko dlatego, że zwracanie się do potencjalnego Czytelnika per „Najemco” jest wbrew wszelkim zasadom propagandy, gdyż odstręcza od lektury tak zatytułowanego wezwania. Być może w sposobie myślenia urzędnika wszystko jest w porządku, gdyż on ma do czynienia tylko z „najemcami”, jak w urzędowym języku nazywają się petenci MZBM, ale też dla uprawiania propagandy potrzebny jest inny sposób myślenia.

Propaganda powoli staje się domeną specjalistów, ludzi którzy nie tylko studiują różne sposoby przekazywania informacji propagandowych, ale

NOU!
st obowiązkem postępowej cywilizacji.
ZBM Łódź-Śródmieście

ry ogólnej i oznacza stopień rozwoju społecznego i kultury materialnej danej formacji społeczno-ekonomicznej. Ale biedny urzędnik, którego zapędzono do pisania odezwy — w myśl zasady, że nie świeci garńki lepią — wie, że nasz ustrój jest postępowy, a więc wszystko co w nim się dzieje musi być postępowe, choć to jest sprzeczne z elementarną zasadą dialektyki. Ale co wspólnego ma dialektyka z wykonaniem planu MZBM? Odpowiedź na to pytanie pozostawiam pracownikom MZBM, być może byłoby to nawet ciekawy temat dla rozważań na szkoleniu partyjnym.

Autor nieszczęsnego wezwania do „Mieszkańca dzielnicy Śródmieście” stał się kołem ofiarnym i zebrał cieżgi za winy popełnione, po pierwsze — w dobrej wierze, a po drugie — w naśladownictwie. Pisanie bowiem enigmatycznie, ogólnikowo i byle jakie o wszystkim, co tylko się da, stało się

wiadomo, ale nikt jakoś nie śmiał tego powiedzieć głośno i zapanował — jak to słusznie zauważył w „Szpilkach” Józef Prutkowski — wersal na sportowych szpalach dzienników. Ale komu ten wersal miał służyć?

Ujawnianie braków i niedociągnięć jest niewątpliwie zajęciem trudnym i bolesnym, ale niezbędnym. Bez tego — jak to już powtarzają ludzie mądzy od stuleci — nie będzie postępu. My czasem wolimy jednak dworskie ukłony, aluzje i przywrócenie oka zamiast argumentów i rzeczowej dyskusji. Nawet w pisaniu o sporcie, choć powszechnie wiadomo, że tu powinien obowiązywać duch czystej walki. A w sporcie dzieje się coraz gorzej i pisanie o sporcie w stylu wersalskim nie pomoże w przewyżnianiu błędów i słabości.

MARCIN RODAK

ĆWIEK



SZYMANOWSKI

O Karolu Szymanowskim, jednym z najwybitniejszych kompozytorów polskich napisano już sporo. Na czoło tych publikacji wysuwa się książka Jarosława Iwaszkiewicza — „Spotkania z Szymanowskim” oraz rozprawa o „Harnasiach”. Pisał o nim J. M. Rytard, S. Spiess, W. Bacewicz, A. Chybiński — przed laty opublikowano jego listy...

Najnowsza książka jest natomiast czymś w rodzaju holdu pamięci wybitnego kompozytora. „Karol Szymanowski we wspomnieniach” — to zapis spotkań, zdażeń, refleksji — spisanych przez leżącego w szpitalu, a więc wspomnienia Iwaszkiewicza i Dobrowskiej, Choromańskiego, Blakowiczówny, Kasprkowskiej, Nałzowskiej, Malczewskiego.

Książka pamięci Karola Szymanowskiego nie jest na szczęście żadnym drukim okazjonalnym, dla którego pisze się wspomnienia z określonym założeniem. Jest to zbiór tekstów drukowanych uprzednio — często nawet za życia kompozytora. Część publikowanych tu wspomnień rozproszona była po czasopiśmie, inne stanowiły fragmenty pamiętników, w których Szymanowski stanowiący tylko jeden z elementów wspomnienia. Dobrze więc, że te wszystkie rozproszone relacje zebrane w jeden zwarty tom. Karol Szymanowski, którego muzyka jest nadal żywa, nadal fascynuje i podbija świat — godzien był takiej książki.

„Karol Szymanowski we wspomnieniach”, PWM, cena 50 zł.

„MYŚLI NIEUCZESANE”

Stanisław Jerzy Lec był wybitnym poetą i satyrykiem. Tłumaczył z powodzeniem literaturę niemiecką, ale sławę i rozgłos zdobył swoimi „Myślimi nieuczesanymi”. Tłumaczone je na wiele języków i wszędzie zdobywały sobie rzesze czytelników. Lec w swoich aforyzmach łączył elementy głębokiej refleksji z humorem i paradoksem. Zawsze jednak jawił się nam jako humanista walczący.

W jego aforyzmach jedni szukali podtekstów, inni drwiny. A byli one przecież tylko (tylko?) głosem zatroskanego o świat humanisty.

Nie sposób recenzować zbiór kilkuset aforyzmów Leca. Można niektóre w tej krótkiej nocy — przypomnieć. „Drogowskazy mogą zrobić z szosy labirynt” — „Łatwiej ogłosić się samemu cesarzem niż wożnym” — „Ci co przetrzeli epokę, chodzą często ze spuszczone głową” — „Czasem psy merdają łanuchem”... I jeszcze jeden aforyzm Leca: „Do wyszłej myśli trzeba się wspinać”. Otóż to!

Stanisław Jerzy Lec „Myśli nieuczesane”, Wyd. Literackie, cena 45 zł.

„FREDRO I FREDRUSIE”

Ta książka narobiła sporo wrzawy i stała się głośniejszą zupełnie niewspomnianie do trzydziestoletniego nakładu. Ale przecież Aleksander Fredro, największy polski komediopisarz, zawsze budził zainteresowanie.

A tu właśnie zarówno zwykli czytelnicy, jak i specjaliści otrzymali po raz pierwszy tak szczegółowy, autentyczny, intymny i szeroko portretowany obraz życia i działalności Fredry. Jawni są tu człowiek prawdziwy — gniewny, kłóliwy, zgrzytliwy i chłimeryczny. Najczulszy w miłości rodzinnej i przyjacielskiej — ludzki dla służby, cęty dla przeciwników politycznych. U schyłku życia smutny, zniechęcony samotnością, przykuty do fotela. Ale też człowiek, który w świadomości powszechnej „uratował Polskę od powszechnej melancholii”.

Bieg życia Aleksandra Fredry w świetle korespondencji rodzinnej ujawnia szczegóły związane z jego twórczością, stosunkami do życia teatralnego, do galicyjskiego „wielkiego świata”, do wydarzeń narodowych i światowych. Odsłania różnorakie pasje życiowe pisarza, wprowadza w atmosferę jego domu, w stosunki rodzinne — w wielkie i małe sprawy Fredry i „fredrusów”. Pasmująca książka.

„Fredro i Fredrusie”, oprac. B. Zakrzewski, Wyd. Ossolineum, cena 75 zł.

WSZYSTKO O WARSZAWIE

Franciszek Maksymilian Sobieszczański uważany jest za jednego z najpoważniejszych badaczy dziejów Warszawy. Żył w latach 1814—1878. Pisał dużo i w swoim czasie PIW opublikował potężny dwutomowy wybór jego rozpraw i szkiców.

Najpoważniejszym jednak dziełem Sobieszczańskiego jest niewątpliwie „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy”. Właśnie tę publikację wydano niedawno w Bibliotece „Syrenki”. Książka ta przewyższa poziomem i zasięgiem wszystkie wydane wcześniej przed „Rysem” książki o Warszawie. F. M. Sobieszczański stworzył bowiem szeroko zakrojoną syntezę dziejów stolicy, jakiej przed nim nikt nie podjął i nie zrealizował.

Obok wydarzeń politycznych wiele uwagi poświęcił zagadnieniom gospodarki komunalnej, zwłaszcza urządzeniom, wadom, dochodom i wydatkom miejskim, zajął się sprawami nauki i szkolnictwa, teatrem, drukarniami, księgarniami, architekturą, komunikacją, przemysłem i handlem. Ponadto przedstawił problemy demograficzne, wymieniał i opisał wiele pałaców, kamienic i kościołów, ogrodów fabryk, sklepów — sporządził też wyczerpujące zestawienia statystyczne.

Słowem jest to encyklopedia dziejów Warszawy do roku 1847. Pierwsze wydanie „Rysu” miało miejsce w 1848 roku — edycja PIW-owska na nim oparto i jest to budaj druga edycja po prawie 125 latach. Dziwi zatem bibliofilski nakład tej książki... 1500 egzemplarzy. Jeśli nawet nie liczyć bibliotek, jest przecież w Polsce wiele tysięcy ludzi interesujących się dziejami Warszawy.

Franciszek Maksymilian Sobieszczański „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy”, PIW, cena 98 zł.

BIEG PO KRAWĘDZI

Wacław Gratewski zmarł przed dwoma laty i ten tom opowiadań jest jego ostatnim zbiorem opowiadań. Gratewski znany był jako dziennikarz, pisarz, działacz społeczny. Blisko 20 lat pełnił funkcję redaktora naczelnego „Expressu” tabelskiego i Wolskiego. Był założycielem poetycznego pisma „Reflektor”, wychodzącego w latach 1923—1925, z jego inicjatywy powstał w Lublinie oddział Związku Literatów Polskich.

Przed wszystkim jednak był pisarzem i publicystą. Ostatni tom prozy opublikowany już po śmierci autora, przypomina lata okupacji. Owe tytułowe „Bieg po krawędzi” jest Biegiem skrajnym urwisła. „Biegiem po krawędzi” tak jak i inni, tyle tylko, że z myślą, żeby zaobserwować i zapamiętać jak najwięcej — wyznaje Gratewski. Jego proza wolna jest od eksperymentalnych kręć — po prostu opowiada o życiu, jakim było i jest. Dobra, rzetelna proza.

Wacław Gratewski „Bieg po krawędzi”, Wyd. Lubelskie, cena 35 zł.

KSIAŻKA - FILM

PAMFLET NA ŻYCIE CODZIENNE

W polskiej krytyce filmowej z dawien dawna zarysowują się dwie przeciwstawne orientacje — nieproporcjonalnie reprezentowane, ale metodologicznie równoprawne. Postępują one jako swoimi instrumentami krytycznymi — by użyć tutaj znanego sformułowania proustowskiego — mikroskopem i teleskopem. Mamy tu na myśli z jednej strony część krytyki holdującą w swoich poczynaniach zasadom analizy przede wszystkim estetyczno-psychologicznej, z drugiej zaś tych, którzy starają się patrzeć na obraz swoich zainteresowań „z lotu ptaka”, włączając go tym samym w zakres dociekań nad ogólną strukturą świadomości i przemian społecznych.

Przed kilku laty wydawało się, że twórczość krytyczna Rafała Marszałka (dokonując koniecznego uproszczenia) umieszczać w sferze wpływów pierwszego odłamu krytyki. Jego druga z kolei książka — „Powtórka z życia” (będąca zbiorem artykułów drukowanych uprzednio na łamach „Współczesności”) operowała niezwykle wnikliwą, często do najdalszych granic szczegółowości posuniętą, analizą dzieł filmowych. Jednakże koncepcja badacza mikroskopowego w rozumieniu wnikliwości estetycznej byłaby w tym wypadku przyznana autorowi przedwcześnie. W gruncie rzeczy tam, jak i w całym swoim dorobku, czynił on przedmiotem swych rozważań świadomościową implikację twórczą artystycznych, ujmując je pod kątem wzoru kulturowego, jaki wyrażała. „Autor jest” — czytamy na obwolucie najnowszej książki Rafała Marszałka „Pamflet na kino codzienne” — „jednym z najbardziej ambitnych przedstawicieli polskiej krytyki socjologicznej — film to dla niego nie tylko samoistna wartość artystyczna, ale także idiom obyczajowy i kulturowy”.

Jest to zgodne z prawdą. R. Marszałek formułując pytania konieczne do postawienia diagnozy polskiemu filmowi ostatnich lat i stwierdzając własną niezgodę na zastany świat kina, czyni następ-

ny krok, a to właśnie staje się najbardziej cenne. Bo o ile ważniejszym pytaniem w tej sytuacji od pytania „jak?” staje się pytanie „dlaczego?”. Stąd właśnie dążność do stwierdzenia w imię jakiej postawy społecznej się wypowiada, jaka świadomość reprezentuje i zarazem afirmuje krytyk, a przeciw jakim konwencjom, schematom myślowym i stereotypom występuje. Naturalnie w takim procesie myślowym jest przekroczenie granic sfery filmu jako odrębnej w rzeczywistości i rozszerzenie refleksji na tę rzeczywistość, z której kino czerpie i którą kino kształtuje. Kształtuje nawet wtedy, gdy pozostaje w zgodzie z sytuacją pozornie obiektywną, gdy programowo (nie jest to jednak najczęstszy program sformułowany) odnosi się do jakiegokolwiek ambientu, schlebając gustom statystycznym, reprezentując konformizm myślowy i oferując banal.

Podstawowym pytaniem R. Marszałka jest pytanie o sferę wartości, a podstawowym zarzutem brak tychże w polskim filmie. Krytyk oprowadza czytelnika, niezłym mistrz Krasieki w satyrze „Klatki”, po występnej ziemi polskiego kina, codziennego, badając pod jakimi postaciami występuje i się objawia. A jest ich wiele — hipokryzja rozrywki polskiej godzącej satysfakcje cielesne z praworządnością klasową („Nasz hipokryta: film rozrywkowy”), miłośność i szlampowatość „samego życia”, reprezentowana przez „swojego chłopca” — Muchę („Pamflet na „swojego chłopca” i „samo życie”), pożyczki świadomości wyrażanej przez „zmysłowe” postacie zamieszkałe w „skansenach”, triumf „czerni i bieli” zwoił utwierdzenia egzystencji polskim serialom telewizyjnym („Tesknota za polskim Melechowem”), czy wreszcie kull nija-kości umiłowanej przez półprawdy romansowo-publicystyczne — wysławiane ustami żeńskich staw polskiego filmu („Moja Smorsarka”).

Krzysztof Mętrak napisał kiedyś

o Rafał Marszałku, że jest największym moralistą wśród naszych krytyków. Socjologizm autora „Pamfletu na kino codzienne” jest w istocie szereg — podporządkowany zostaje celom moralistycznego utilitaryzmu, wyraża postulat życia godziwego, egzystencji niezafalszowanej.

Charakterystyczne jest tu uformowanie z tekstów omawiających poszczególne filmy i poszczególne problemy na przestrzeni znaczonego czasu, całości ogarniającej polskie kino ostatnich lat i zespolenie jej dążności do nadania krytyce w tym wydaniu charakteru postulatowości. Rafał Marszałek udowadnia, że rozważania nad pozorem najbliższymi przejawami produkcji filmowej mogą stać się punktem wyjścia do subtelnych analiz społecznej mentalności. Tak właśnie protest przeciw jednostkowym przypadkom inwencji naszych twórców, staje się pamfletem na społeczne przyzwolenie, na sytuację szerszą. Rafał Marszałek nie pisze — „film tonie w przeciętności”, lecz — „razem z codziennym filmem toniemy w przeciętności” i jest to wiedzę dopiero właściwa miara protestu. „Pamflet nie dotyczy ich i was, lecz nas wszystkich”.

Jednakże zastanówmy się głębiej nad „Pamfletem”. Jakości, które bada krytyk w swojej nowej książce są zmiernie ściśle teleskopowe. Co prawda teleskop R. Marszałka nastawiony na bliskie odległości wychwytuje rzeczy drobne i odcienie subtelne. Tak ma się rzecz w przypadku najbliższego chyba myślowo szkicu — „Nasz hipokryta: film rozrywkowy”. Dlatego właśnie pozwoliliśmy sobie na umieszczenie narzędzi, jakimi dysponuje autor, w gabinecie szkiców powlekających. Zwrotny jednak uwagę na fakt, że pierwszy tekst jest o prawie cztery lata starszy od pozostałych. Widać więc różnicę, bowiem na następnych mimo ich niezwykle błyskotliwej inteligencji i językowej oryginalności, zaciążyła pewna doraźność i interwencyjność. Szyderstwo z problemowej nija-

kości i żądanie zawyżenia lotów, wielorakość kultury przyporządkowana wielowarstwowości odbioru, postulat filmu — autentycznej wypowiedzi w przeciwieństwie do filmu — tuby głośnikowej, wewnątrzny konflikt racji zamiast chłodnego pragmatyzmu — te prawdy, którymi zalecają się teksty R. Marszałka, wydają się być podejrzenie jednoznaczne i jakby spacyfikowane już przez krytykę bieżącą. Można oczywiście argumentować że to obecność grzechów śmiertelnych kina polskiego upoważnia krytyka do udzielania upomnień podstawowych. Czy jednak oczywistość przewinienia musi być miarą oczywistości skarg i zażaleń?

Pierwszy szkic zdaje się przeżyć takiemu przekonanemu. Jest to kapitalna i niezwykle pomysłowa analiza schematu „podwójnego ubezpieczenia”, zbudowana na grzechach myślowej aktywności i artystycznej ambicji kina polskiego. Bo czego by się jednak nie powiedziało. Rafał Marszałek jest doskonałym krytykiem i może dlatego właśnie nawet w pamflecie, mimo szczególnego charakteru tego gatunku — charakteru odpowiadającego w pewnym stopniu na nasze poprzednie uwagi, potrafi znaleźć miejsce do wyrażenia optymizmu i nadziei. Widać czytelnika po problemach filmowych wpisanych doskonale w nurt świadomości potocznej, pisze także o tych, które pozostają na jej marginesie, o filmach, które nie wyrażają na nią zgody. Gdy wraz z autorem przyjrzymy się tym filmom („Za ścianą” K. Zanussiiego, „Ocalenie” i „Szansa” E. Zebrowskiego), okaże się, że ów własny margines rozrasta się niespodziewanie a tereny świadomościowej potoczności są jedynie pozornie wszechogarniające, że to one właśnie są marginesem stworzonym dla ułatwienia — po którym co prawda wygodnie się porusza, ale zarazem aż na tyle wygodnie, by w pewnym momencie — wówczas, gdy stanie się on własnością wszystkich — pozostał wyspą bezludną. Wyspa, na której już tylko pamflety pisane przez „swojego chłopca” zyskałyby czytelników.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI ANDRZEJ ZALEWSKI

Rafał Marszałek — „Pamflet na kino codzienne”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.

CZASOPISMA

Z RÓŻNYCH PUNKTÓW WIDZENIA

Przy wydawaniu każdego nowego pisma zespół prące do podejmując musi odpowiedzieć sobie na dwa podstawowe pytania: pierwsze — jaką przyjmują koncepcję dla pisma? — i drugie — do kogo jest ono adresowane? Komitet redakcyjny, pod kierunkiem prof. Jerzego Koriana pracujący nad redagowaniem i wydawaniem pisma Rady Naukowej przy Prezydencie miasta Łodzi, a które otrzymało tytuł: „PRZEGLĄD EKONOMICZNO-SPOŁECZNY MIASTA ŁODZI”, znalazł odpowiedź zarówno na pytanie pierwsze, jak i na pytanie drugie.

„Przegląd Ekonomiczno-Społeczny miasta Łodzi” jest zatem piśmie, które problematykę społeczną i gospodarczą Łodzi ujmuje z kilku punktów widzenia. Stanowią one jakby koncentryczny układ tych punktów widzenia. A więc autorzy piszący do „Przeglądu” starają się patrzeć na sprawę łódzkiej z punktu widzenia miasta, prezentując jego problemy, inicjatywy i osiągnięcia. Następnie próbują pokazywać te sprawy, które mają znaczenie ponadregionalne, już nie tylko miejskie, ale i szersze niż region łódzki. I wreszcie sprawy z trzeciego punktu widzenia, to materiały zgrupowane w dziale, może nieco szumnie zatytułowanym: „Łódź a świat”. Obok tego „Przegląd” drukuje studia i rozprawy o znaczeniu ogólniejszym, a w

pierwszym numerze — dział ten otwiera artykuły Bolesława Koperskiego („Łódź środowiskiem klasy robotniczej”), Jerzego Lorenasa („Łódź wczoraj, dziś i jutro”), Gryzeldy Misalowej („Łódź w świetle historii”), Tadeusza Krzemieńskiego („Przyrodnicze postawy rozwoju Łodzi”) i innych.

Jest to koncepcja jak na rocznik interesująca, daje bowiem materiały uporządkowane wedle określonego schematu, stwarzając jednak zespołowi redagującemu określoną trudność. Trzeba bowiem do każdego numeru, choć ukazywać się one będą w rocznych odstępach, zapewnić materiały do każdego z działów, aby zachować układ rozchodzących się kręgów tematycznych, a mający na celu sprawy miasta ukazywać niejako w trzech wymiarach. Znamy są przecież trudności w niektórych łódzkich środowiskach, które dysponując dość liczebnymi zespołami specjalistów, niechętnie odnoszą się do propozycji publikowania ich doświadczeń i wyników pracy. Trudności te odczuwa też zespół redagujący „Przegląd”.

Pytanie drugie: dla kogo wydawany jest „Przegląd”? też znalazło odpowiedź, choć jest to odpowiedź hipotetyczna. Zdaniem członków zespołu redagującego „Przegląd” adresowany jest zarówno do środowisk naukowych miasta, do działaczy gospodarczych i społecznych, nauczycieli, młodzieży akademickiej i wszystkich tych, którzy interesują się sprawami miasta. Takie jest za-

łożenie. Czy środowiska te przyjmą pismo, zaakceptują je i uznają za swoje, w swojej pracy pomocne? Czas pozwoli znaleźć odpowiedź na te pytania.

„Przegląd” ukazał się w niewielkim nakładzie. Egzemplarz kosztuje 50,— zł. Pismo wydane jest starannie, co jest zasługą Wojskowej Drukarni w Łodzi, która była jedynie zdolna do wydrukowania tekstów niezbyt przecięt przeladowanych tabelkami, skromnie ilustrowanych wykresami, od czasu do czasu używających różnych naukowych oznaczeń, a także zaopatrzonych w bibliografię i przypisy. Dla innych zakładów graficznych miasta nie jest to powód do dumy.

Sądząc po pierwszym numerze „Przeglądu” potencjalny adresat powinien pismo przyjąć zycielnie, gdyż znalazł w nim publikacje dotyczące spraw pracy w mieście Halina Mortimer-Szymczak „Gospodarowanie zasobami Dziecielska-Machnikowska”, „Warunki i problemy pracy kobiet łódzkich”, Józef Marczak „Budżet czasu kobiet zatrudnionych w przemyśle łódzkim”, publikacje na temat obecnej i przyszłej struktury miasta) Zdzisław Prochowski „Łódź jako centrum regionu”, Ksawery Krassowski „Podstawowe problemy gospodarki komunalnej m. Łodzi”, Jerzy Sadowski i Jerzy Samujło „Urbanistyczna przyszłość Łodzi”, Wacław Musiał „Łódzka Aglomeracja Miejska”, Wacław Piotrowski „Przemiany funkcjonalnej struktury m. Łodzi”, (publikacje o kulturalnej pozycji miasta) Zbigniew Bokszański, Bogusław

Sulkowski „Łódź jako ośrodek nauki, kultury i sztuki”, (a także o handlowych sprawach Łodzi, która jest przecież poważnym centrum handlu międzynarodowego), Jan Kuteżycki „Łódź jako eksporter wyrobów przemysłu lekkiego. Zestaw tematów bogaty, autorami są wybitni specjaliści, a więc propozycja zespołu redagującego wydaje się być interesująca i chyba znajdzie chętnych nie tylko do zapoznania się z treścią jednego numeru, ale i takich, którzy będą czekali na drugi numer i następne i będą zaliczali się do stałych odbiorców pisma.

Należałoby zatem życzyć pomysłowego realizowania programu pisma, ale skoro w artykule wstępnym zespół redagujący prosi o uwagi „co do treści i formy” można zgłosić jedną. Dla każdego pisma tego typu co „Przegląd” niezwykle ważną rolę spełnia spis treści, który jest jakby wizytówką pisma. Jednakże zestawienie tytułów w pierwszym numerze „Przeglądu” pokazuje ubóstwo pomysłów, gdyż tytuły są formą podobne do siebie, a przez stałe powtarzające się w każdym słowo „Łódź”, straszą monotonią. Sądzę, że można pokusić się o zróżnicowanie tytułów. A już na pewno trzeba w następnych numerach postarać się o omówienie jego treści w językach obcych.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MAGAZYN

AMBITNA PRZYRODA

Jeden z naszych doświadczonych Reżyserów Naukowych nakręcił bardzo udany film popularno-naukowy. Niestety, popularności film ten nie zdobył, ale przyroda potrafiła się zrewanżować. Wszędzie, gdzie tylko Reżyser ten dłużej postoi, zaraz bujnie wyrastają pachnące i puszyste kwiatki. To nie wszystko! Gdy stanie jego przedłuża się, ktoś z góry sypie poziomki. Zyczliwi koleży Reżysera namawiają go, by posłał na próbę jeszcze trochę, ale on ze względu na nawalną pracę nie może tego uczynić.

PRZEZ DWIE PÓLKULE

Z Toronto wyruszyli w przeciwnych kierunkach dwaj operatorzy filmowi, zaopatrzeni w kamery. Zamierzają oni...
MAŁE KINO
„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

Gdyby z jakis tam przyczyn do spotkania jednak nie doszło, operatorzy zrezygnują z filmowania i poprzestaną na wysłaniu do siebie kolorowych widokówek z wesołym obrazkiem i dokładnym kodem pocztowym.

ZYWE SŁOWO

Na ciekawy pomysł wpadł pan Jan Pszeny z osiedla Babilon Średnia. Pan Jan nie tylko pilnie ucieszcza do kina, ale również każdy obejrany film dyskutuje głośno sam z sobą. Pan Jan stwierdził z zadowoleniem, że gdy idzie ulicą z zapalem z sobą dyskutując chętnie gromadzą się wokół niego ciekawie słuchacze, często odciągając w ten sposób od

budki z ptwem.

PERIDNY LAJDAK

W Stanach Zjednoczonych powstanie barwny film o słynnym współczesnym urodzicielu Irwingu Gollontze, który podle okladywał dziewczęta i kobiety zameżne, obiecując im zmianę stroju, następnie uwodził i rzucał nie wywiązując się z przyrzeczenia. I po co komu taki film?

ZROZUMIAŁY SZACUNEK

Trwają przygotowania do nowego ciekawego filmu historycznego, tym razem o Bolesławie Krzywoustym królu. W filmie tym po raz pierwszy zastosowany zostanie pewien szlachetny chwyt psychologiczny. By nie akcentować przykrego mankamentu twarzy królewskiej, cały jego dwór będzie posiadał również nieco krzywe usta, co może pomoże uspić wyczerlenie widza na wszelkiego rodzaju wykrzywienia. W wypadku uzyskania zamierzonego efektu, podobny chwyt psychologiczny zastosuje się również przy realizacji filmu o Władysławie Łaskonogim królu.

POWIĘKSZENIA

WYSTĘPY JAROCKIEJ

Irena Jarońska po niezbyt udanych występach na krajowych i zagranicznych festiwalach piosenek rozpoczęła ostatnio koncerty w lokalach gastronomicznych. W poniedziałek 23 września wystąpiła w restauracji hotelu „Monopol” w Ostrowcu.
Fakt ten zarejestrowała telewizja włączając recital do spektakli „Popiołu i diamentu”.

ROGOWSKI ZNOW PISZE

Nasz ulubiony autor z „Przekroju” Z.K. Rogowski nadal informuje swoich czytelników o sprawach powszechnie znanych. Ostatnio raz jeszcze opowiedział swoimi słowami o wojennej historii mł. „Batorego”. Przy okazji oświadczył, że książka oficera rozrywkowego „Stefana Batorego” będzie bestsellerem.
Od opinii Z.K. Rogowskiego nie ma odwrotu.

CESARZ ZDROWI!

Kamień spadł nam z serca! Po paru dniach latzącego niepokojem „Głos Robotniczy” poinformował nas, że cesarz Etyopii czuje się dobrze.
Chwała Bogu!

LITERATURA

W piśmie „Literatura” (nr 38) znajdujemy ciekawe rozważania na tematy demograficzne (również w poprzednim numerze), publikację nt. historii amerykańskiej Polonii, dwa reportaże (z kraju i Portugalii), trochę felietonów i kolumnę notek recenzyjnych.
Literaturę reprezentują w „Literaturze” trzy wiersze i jedno opowiadanie.

GÓRNOLOTNIE

„Naczelny architekt obejrzał miasto z lotu ptaka” — donosi z triumfem „Express Ilustrowany”.
A może warto by zejść na ziemię?

IGOR ŚMIAŁOWSKI OPOWIADA...

Anegdota mają tę właściwość, że najczęściej ich humor i urok ginie, kiedy komus przyjdzie do głowy je zapisać. Bawiem anegdotę z natury rzeczy przeznaczoną jest do opowiadania. A jednak Igorowi Śmiałowskiemu udało się dokonać niełatwej sztuki spisania anegdot teatralnych i czytając tę uroczą książeczkę raz po raz wybuchamy śmiechem.
Czytelnicy „Odgłosów” mieli zresztą okazję o tym się przekonać, bowiem w swoim czasie drukowaliśmy fragmenty wydanej ostatnio książki „Igor Śmiałowski opowiada...”.

Ponieważ recenzowanie zbioru anegdot nie ma sensu, poza stwierdzeniem, że w tym wypadku jest to lektura znakomita, zamiast recenzji przytoczymy z książki Śmiałowskiego parę łódzkich opowiadań teatralnych.

Przed wojną, w jednym z łódzkich teatrów, krawiec Pytel słynął z dużego poczucia humoru i znanstwa skomplikowanej mechaniki teatru. Podczas generalnej próby reżyser ujrzał w ciemnej części widowni owego krawca, który z zainteresowaniem przyglądał się temu, co dzieje się na scenie. Znając wyczulony smak mistrza igły, podszedł do niego i zapytał, co sądzi o tej sztuce. Krawiec uśmiechnął się z pobłażaniem i wyszeptał:
— To nie jest sztuka na premierę.

W Teatrze Łódzkim, w latach trzydziestych, aktor tego teatru, Orlicz, mierząc kostium w pracowni krawieckiej powiedział do szefa tej pracowni, Pytla:
— Ileż pan tego materiału napsujesz.
Pytel pokławił głową:
— A pan ile literatury.
Znany i ceniony sufler łódzkich teatrów, Stefan Heine, opowiadał mi, że kiedy w sezonie 1929/30 w łódzkim Teatrze Kameralnym, mieszczącym się podówczas w Grand (Bolesław Gorczyński i Michał

Hotelu, zmieniła się dyrekcja Melina, na otwarcie sezonu wystawiono „Fircyka w zalotach” Zablockiego. W tytułowej roli wystąpił gościnnie Juliusz Osterwa. Arysta grał Melina, ale obowiązki dyrektora nie pozwoliły mu, niestety, na dokładne opracowanie tej roli.
Heine, mistrz w swoim zawodzie, dwoił się i troił. Jego wyraźny szept docierał do najdalej położonych miejsc sali Teatru Kameralnego.
Obecna na przedstawieniu Irena Hrečka powiedziała:
— Przedstawienie byłoby urocze gdyby nie było chore na Heine-Melina.

Pewnego ranka wracając z występów w Łodzi do Warszawy czekaliśmy w hallu dworcowym na Adolfa Dymalskiego. Obok nas dwaj zawiśni obywatele pokrępieli się piwkiem. Wreszcie otwary się drzwi — a w nich stanął Dodek. Spojrzał na nas, zrobił jakąś zabawną minę, poruszył brwiami, podkreślając to właściwym sobie gestem. Tamci dwaj wyjęli z ust flaszki i spojrzeli na siebie. Widać było, że go poznali, ale na śmierć zapomnieli, jak się nazywa. Raptem jeden z nich zerwał się i ryknął:
— Jezus Maria, Szczepcio i Tońcio!

Kiedyś w łódzkiej wytwór-

ni filmowej Henio Szlachet skaleczył palec. Za naszą namową udał się do pielęgniarki. Wróciwszy z ręką na temblaku, roześmiany, powtórzył nam rozmowę, jaka miała miejsce w gabinecie lekarskim:
— Pielęgniarka pyta mnie: „Imię?” — odpowiadam: „Henryk”. Na to ona — „nazwisko?” — mówię, że Henryk IV to ja nie jestem, i wymieniam posłusznie swoje. „Fizyczny czy umysłowy?” — pyta mnie dalej. Spojrzałem na nieładną i już niewidzialną siostrę i zarzyknąłem: „Gdyby siostra była młodsza i ładniejsza, to ja byłbym fizyczny!”

W łódzkim atelier podczas kręcenia filmu „Zakazane piosenki” Henio Szlachet powiedział do bohatera tego filmu, Jerzego Duszyńskiego:
— Pan jesteś dla mnie Ramon Navarro — i szciszając głos dodał: — jak na łódzkie stosunki.
Książka Igora Śmiałowskiego kończy się apelem o nadsyłanie anegdot teatralnych, bowiem znany aktor przygotowuje nową książkę. Ponieważ więc publikujemy trzy anegdoty z dawnego „Pstrąga”.

Pod koniec lat pięćdziesiątych łódzki STS „Pstrąg” wy-

stępował w auli UL na ostatnim piętrze gmachu przy ul. Buczka. Przed premierą dwaj studenci weszli na strych nad sceną aby wywieźć dziury w suficie i przeciągnąć liny mocujące boczne kulisy. „Szefem techniki” „Pstrąga” był wazący nieco ponad normę polonista o przezwisku Foma. On to właśnie montował kulisy na scenie.
W pewnym momencie studenci znajdujący się na strychu słyszą potworny łomot i wrzask, a potem ciszę.
— Co się stało? — wołają przez wywiercone w suficie otwory.
— Nic, nic — pada odpowiedź z dołu — Foma spadł z drabiny.

W tym czasie kierownikiem „Pstrąga” był znany dziś reżyser, Jan Skotnicki. Aula na Buczka była tylko prowizorycznie przystosowana do przedstawień — na tablicy rozdzielczej znajdowały się trzy przełączniki — od górnej rampy, od światła na sali i od dzwonka. Ponieważ w czasie spektaklu za kulisami było ciemno, studenci manipulującymi przy tablicy wciążyli myśli się przełączniki.
Po spektaklu Jan Skotnicki, który oglądał przedstawienie z widowni, przychodził za kulisy i mówił do elektryka:
— Kochany, to było cudowne. Ni stąd ni zowąd te światła na widowni, albo te zupełnie abstrakcyjne dzwonki w

środku programu — no, stary, naprawdę przeszedłeś sam siebie.

Ówczesny rektor UL, niezbyt przyjaznym okiem patrzył na studentów działających w STS „Pstrąg”. W czasie egzaminu zapytał występującą w teatryku Halinę Kijowską:

— Niech się pani zdecyduje, kim pani chce być — divą kabaretową czy magistrem filologii?
— Divą kabaretową z tytułem magistra filologii — odparła Halina.
Po latach Halina Kijowska została nie divą kabaretową wprowadziła ale najpierw kierownikiem literackim Teatru Ziemi Łódzkiej, a obecnie pracuje w katowickim Teatrze Telewizyjnym.

Nie wątpię, że zabawnych anegdot zdarzeń i dykterek teatralnych nasi czytelnicy znajdą sporo. Autor książki apeluje, zwłaszcza do aktorów, filmowców i radiowców o nadsyłanie ich na adres PW „Iskry” (OO 375 Warszawa, ul. Smolna 11/13). Następny tom anegdot jest już w przygotowaniu, warto go więc wzbogacić o nowe zdarzenia.

J. WIL.

WSPOMNIENIA KARIN STANEK

BAWIĘ PUBLICZNOŚĆ, JAK MOGĘ

Z tą popularnością, to teraz jest zupełnie inaczej niż kilka lat wstecz. Dziś nie jest trudno zdobyć popularność, może ją osiągnąć każdy bardziej obrotowy, trzeba tylko do tego wybrać odpowiednią drogę. Każdy wie, że jeżeli piosenka, nawet najgorsza, będzie w radio nadawana po kilka razy dziennie i do tego prezentowana w programach telewizyjnych, to w krótkim czasie będzie ją znał każdy. Popularność piosenki natomiast oznacza grube pieniądze dla jej autora i kompozytora.

Cieszą mnie sukcesy odnoszone na estradach i cieszy mnie, że mało się zmienia. W związku z tym zresztą mam cały szereg najzabawniejszych historii, przeważnie w pociągach w których spędzam wiele czasu. Ludzie przyglądają mi się i czasem wprost, na głos, a czasem po cichutku, zastanawiają się — „ona, czy nie ona?” Podróżuje często z gitara, jest to dowód przemawiający za, ale niejednokrotnie mają jednak wątpliwości, a nawet zakładają się między sobą. Ja oczywiście zawsze z miną niewinna i okropnie zdziwiona, nie wiem o co im chodzi. Ja — Karin Stanek? — ależ skąd, to pomyłka. Na to ten, który był przeświadczone, „a widzisz? mówiłem ci, tamta jest przecież wyższa i tejsza. No, a poza tym brzydsza”. I jak tu się nie śmiać?

Kiedyś jechałam z Warszawy

do Łodzi wieczorem i wracali trzej starsi panowie z jakiegoś sympozjum — byli lekarzami. Kiedy wyszłam na chwilę na korytarz i stanęłam przed drzwiami, usłyszałam ich cichą rozmowę:
— Wiesz, ta młoda osoba jest zadziwiająco podobna do Karin Stanek.
— Właśnie miałem wam to samo powiedzieć — na to drugi — to same ruchy, no i ten charakterystyczny głos.
— Podobieństwo zadziwiające, ale to niemożliwe, bo przecież Stanek jest już teraz dużo starsza, a ta — to przecież dziecko, ma może 18 lat, a może i nie?
— Tak masz rację, stanowczo za młodziutka, ale tak podobna, coś takiego!

Innym razem jakiś młodzieniec też wyznał mi, że jestem podobna do Karin Stanek, ale tamta jest starsza i wyższa. Mówił dalej: „Zresztą znam ją doskonale, jest moją kumpelką”. „Tak?” — to mnie zainteresowało — „proszę mi o niej opowiedzieć”. Opowiadał rzecz oczywiście długo i zawzięcie, no i absolutnie absurdalne historie.
Kiedyś jechałam pociągiem nocą i jakiś starszy pan, chyba nauczyciel, miał do mnie pretensje, że nie mam tarczy przyszytej do płaszcza i jak mi rodzice mogli pozwolić na samotną podróż nocą.
Zdarza mi się również często,

że podrywają mnie na ulicy „panowie” około lat 18 i koniecznie umawiają się na spotkanie. Nie pomagają tłumaczenia — więc umawiam się. Przepraszam ich w tym miejscu, że nie przychodzę!
Ogromnie dużo wspomnień mam w związku z moją piosenką „Tato kup mi dzinsy”. W każdej sali, zeskakiwałam z estrady w poszukiwaniu „taty”. Pamiętam, że w Bydgoszczy upatrzyłam sobie jakiegoś pana i śpiewałam wprost do niego, uśmiechając się. Już zamierzałam uścisnąć mu na kolanach jak córka, kiedy towarzysząca mu dama (chyba żona?) z wściekłością chwyciła go za rękę i wyprowadziła z sali.
Śpiewałam tę piosenkę przez kilka lat, w wielu miastach, poszła więc wieść między ludźmi o moich wyczynach i zauważyłam, że kiedy zaczynam ją śpiewać, to w niektórych miastach panowie kryją się. To mnie jeszcze bardziej rozbawiło i kiedyś specjalnie wywołałam takiego pana — to było w jakimś małym miasteczku — i usiadłam mu na kolanach, śpiewając „tato kup mi dzinsy”. Chyba po miesiącu otrzymałam list od tego pana na adres Estrady. Że musiał wyjechać z miasteczka (oczywiście na miesięczne wakacje — więc skorzystał), bo dzieciaki na ulicy wołały za nim „tato”.

Bywają też czasem ludzie zupełnie pozbawieni humoru. Kiedy uśmiecham się do nich, nawet nie drgną, kiedy chcę uścisnąć na kolanach — odsuwają się, kiedy podsuwam im mikrofon, aby śpiewać z mną refren — odwracają głowy.
Bawię zawsze publiczność jak mogę. Przez te zabawy niszczyłam już w mojej karierze kilka mikrofonów, zerwałam kabel — szczególnie wtedy, kiedy robię z kabla skakanke.
W Koszalinie śpiewałam jakąś dynamiczną piosenkę — chyba „Jestem sama” — i raptem czuję, że pęka mi ramięczko u staniczka. Taniec się skończył, ale uśmiech na twarzy pozostał. Mikrofon uśmiechał się w statywie i śpiewałam dalej, trzymając ręce, jakbym przycisnęła do siebie coś niewidocznego. Ukłoniłam się i zesłam ze sceny, cały czas oczywiście serdecznie uśmiechnięta, jak gdyby nigdy nic. Do bisów już nie wyszłam. Następnego dnia w miejscowej prasie ukazała się recenzja z naszego koncertu — i moje zdjęcie. Myślałam, że padnę, fotoreporter utrzymał moją katastrofę.
Publiczność zna mnie przeważnie tylko z estrady, gdzie jestem zawsze wesoła, pełna życia i gdzie naprawdę nigdy nie jestem sama, bo przecież widownia zawsze się z mną bawi.

Ala życie prywatne, to zupełnie coś innego. Niestety, przeważnie za kulisami, czy na trasie bywam sama. Ludzie estrady zazwyczaj lubią bawić się, szaleć i lubią alkohol. Ponieważ ja nie piję, więc jestem traktowana jak ktoś obcy. Ale lubię samotność, wtedy odpoczywam, marzę, słucham Chopina — którego uwielbiam, czytając interesujące książki.

Kiedyś ktoś zapytał mnie, czy lubię tańczyć. Oczywiście, że lubię, ale tańczę przeważnie tylko na scenie, rzadko bywam w lokalach, źle się czuję, gdy każdy na mnie patrzy i do tego nie znoszę dymu z papierosów. Próbowałam kiedyś nauczyć się palić — ale nie z tego nie wyszło.

Lubię nastrojowe piosenki, i mogę ich słuchać godzinami. Kiedyś zapragnęłam sama zaśpiewać taką piosenkę. I zaśpiewałam — „Dlaczego tak się stało?” Piosenkę tę śpiewałam przez kilka lat i śpiewam do dziś na recitalach.
Piosenkarka ma trudną pracę, śpiewając musi być jednocześnie aktorką. Czasem jestem bardzo zmęczona, smutna, czuję ogromnie zmartwiona — ale z chwilą, kiedy wychodzę na estradę, znów staje się Karin — uśmiechnięta, radosna, zapraszam widzów do zabawy. Wiem, że są ludzie, którzy mnie nie lubią, którym wydaje się, że jestem zła, rozpuszczona.

Jechałam pociągiem z całym zespołem, ale usiadłam w osobnym przedziale — bo oni palili, a ja nie. Ze mną jechała jakaś starsza pani, nauczycielka. Przechodząc korytarzem zobaczyła gdzieś po drodze Jacka Lecha, poznała go i po powrocie do przedziału mówi do mnie: „Pani wie, tu jada ci Czerwonocznarni, widziałam ich. Jacy to okropni ludzie. Tam śpiewa ta Stanek, to okropność, taki zły przykład dla młodzieży. Czy pani wie, jakie kłopoty z nią miała zawsze jej matka i ma do dziś? Nigdy nie chciała się uczyć, siedziała w domu poprawczy, a teraz naje. Ja jestem nauczycielką, ja bym takiej nie pozwoliła śpiewać. A jak ona się ubiera!”

Siedziałam zupełnie zdruzgotana, bałam się odezwać, żeby mnie nie poznała. Co bym jej mogła powiedzieć? Jak na ironię ona ciągnęła dalej: „Pani jest taka matomówna, spokojna, naturalna, bez malowideł na twarzy, widać porządną dziewczyną, ubrana zwyczajnie, skromnie. Z takich jak pani powinna brać przykład młodzież!”

Ciekawe, co powiedziałaby, gdybym się jej przedstawiła? Na wszelki wypadek wołałam nie ryzykować i na najbliższej stacji, pod pretekstem, że wysiadłam, przeniosłam się o kilka wagonów dalej. Sługo rozmawiałam nad tym, kto tej pani naopowiadał tyle okropnych rzeczy o mnie i dlaczego?

Wspominam z przyjemnością wspaniały program Jerzego Grucy „Poznajmy się”, w którym to położyłam na deski Bogumiła Kobiele.
Przygotowanie programu telewizyjnego wymaga ogromnie wiele pracy, toteż niejednokrotnie spędzałam w studio całe dni, nawet bez jedzenia, po to, aby widzowie mogli obejrzeć mnie na ekranie w ciągu kilku minut.
Nie wyglądam nigdy ładnie w telewizji, może dlatego, że się nie maluję? I nie wiem, dlaczego wyglądam tak potężnie. Każdy, kto widzi mnie z bliska na żywo, po raz pierwszy, dziwi się, że jestem właśnie taka. Ję! Jaka pani malutka i szczuplutka, zawsze myślałam, że jest pani wysoka — i jak to się mówi — przykości!

Szczupła jestem, ale malutka? — o wcale nie, mam przecież całe 156 cm wzrostu.

Koniec

Oprac.
A. KRYSZKIEWICZ